TETMAJER

# POEZYE

# POEZYE

II

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

# POEZYE

II

WYDANIE TRZECIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1901

Дозволено Цензурою.

Варшава, 12 Марта 1901 г.

# I.

# WIERSZE RÓŻNE

# WSTĘP.

Straciłaś moc — od swoich progów
Ludzkość odtrąca cię niechętnych,
I niemasz dziś już nawet wrogów,
Lecz tylko zimno obojętnych;
Z mórz urodzona, z szumu lasów
Przestałaś już być mową bogów,
A jesteś mową dziś paryasów.

Straciłaś moc — pustym są dźwiękiem
Twe hasła, klątwa twoja głucha,
Nie wzruszasz skargą, ani jękiem,
Westchnienia twego nikt nie słucha;
Nikt się nie poi twoim śpiewem,
W nikim już nie czarujesz ducha,
Nie wznosisz, ni zapalasz gniewem.

Straciłaś moc — jesteś upiorem
Minionej twojej królewskości;
Z bezwładną ręką, z sercem chorem,
Niczem dziś jesteś dla ludzkości.
Nikt dziś już jako za przewodnią
Gwiazdą, nie pójdzie twoim torem;
Przestałaś wodzów być pochodnią.

Dziś co najwyżej bawisz ludzi
Lekceważona i przeżyta.
Młodość się tobą już nie budzi,
Nie potężnieje, ni rozkwita;
Aniś potrzebna tym, co cierpią,
Ani tym, których życie trudzi —
Dziś cię nie wielbią, ale — cierpią.

A jednak, taka odepchnięta
Ręką brutalną i zuchwałą,
Poezyo, niegdyś matko święta
Myśli: jesteś mą duszą całą;
Mą dumą, bo z minionych czasów
Coś królewskiego pozostało
W tobie, ty mowo paryasów.

I tem, żeś tak osamotniona
I tak skazana na zagładę,
Jak limba, co gdzieś w skałach kona

W huczącą patrząc się kaskadę,
Która ją strąci do otchłani:
Tem droższą jesteś mi — i kładę
Całe ci moje życie w dani.

1894.

## Poeci idealiści.

Drogą, gdzie skalne spiętrzyły się ściany,
Gdzie wzrok przeraża ciemna bezdeń fal,
Kędy się groźne włóczą huragany,
A nieraz runie grom z chmur wykrzesany,
Idziem odważnie w nieskończoną dal...

Tłum ludzi pyta: »Dokąd wy dążycie?
Co iść wam każe morzu, skałom wbrew?
Komu niesiecie na ofiarę życie,
Jak niegdyś Bogu skrytemu w błękicie
Ofiarowano z rozkoszą swą krew?«...

Kto Bogiem naszym? Gdzie on?... Waszym oczom
Wpatrzonym w ziemię niewidny ów Bóg —
Nie ku błękitnym wznoście wzrok przeźroczom,
Ale ku myśli niezmiernym roztoczom
I w duszach waszych szukajcie doń dróg...

Ideą zwie się ów Bóg; nasze czoła
I piersi nasze, to dla niego tron;
Kapłanem jego ten być tylko zdoła,
Kto, jako Chrystus w Ogrójcu, zawoła:
»Dla ciebiem gotów na mękę i skon!« ...

Jest świat, gdzie Bóg ów z licem wiecznie młodem
W pełen tryumfu w bój wyzywa czas:
Tam to my dążym pielgrzymów pochodem;
Ach! Gdyby dotrzeć przed słońca zachodem,
Swobodną piersią odetchnąć choć raz...

Porwany szałem niejeden wśród drogi,
Stargawszy siły, czołem runie w kurz,
I przeznaczenia klnąc gwieździe złowrogiej,
Chce powstać, wrócić w ciche domu progi —
Nie wraca kamień z fal bezdennych mórz...

Niebacznie depcąc poprzedników ciała
Stosami ległe wpoprzek naszych dróg,
Idziem; źrenicom przewodniczy chwała,
Jak wielkie słońce, co nad czernią pała
Obłoków dartych przez błyskawic smug.

Dumni, jak greckie półbogi zuchwali,
Wbrew Olimpowi podnoszące dłoń,
Póki się płomień życia w nas nie spali,

Z płonącą skronią dążym dalej, dalej!...
    W zimnej mogile chłodzim spiekłą skroń...

Oto już dzień się do zachodu chyli —
    Nigdyż u celu nie staniemy bram?
Spoczynku jednej nie mieliśmy chwili,
Czyżbyśmy próżno wciąż naprzód dążyli?...
    Zaprawdę próżno — kresu niema nam.

Lot orła znajdzie granice w przestworze,
    Delfin napotka w oceanie brzeg,
Grot piorunowy w ziemię się zaorze,
Wolę i dumę zegnie los w pokorze,
    Lecz twórczej myśli nieskończony bieg...

Podobni słońcu, co uwiędłe zielę
    Kolebką czyni młodych, świeżych ziół:
Jedne osiągłszy, nowe tworzym cele...
W jutra tajemną twarz patrzący śmiele,
    Po laur sięgamy dla wyniosłych czół!...

## Credo.

Jutro?... Nie wierzę, aby lepiej było
I nie zazdroszczę już tej wiary — dzieciom...
Po co się łudzić? Wydarte stuleciom
Posępne, smutne, zimne doświadczenie
Złudzeniom wszelkim na czole wyryło:
»Śmierć i nicestwo«!... zabiło złudzenie...
I tylko dziwna, mistyczna, szalona
Chęć, tą ohydną wstrząsnąć ziemi bryłą,
Świat cały, jak jest, pochwycić w ramiona,
Z posad go dźwignąć i na nowe koła
Jakiebądź rzucić, gdy te, co go toczą
We łzach się pławią i we krwi się broczą;
I tylko głos ten, co nas w noce woła
Z złem walczyć nie przez ufność odrodzenia,
Lecz przez nienawiść ku złemu dla złego,
I żądzę, ssaną z powietrzem, niszczenia:
Jest naszą wiarą. A choć czasem ona
Omdlewa w piersiach, to wnet zmartwychwstawa,

Jako z popiołów Feniks, odrodzona,
I jak kometa błyska ludziom krwawa,
Której płomienie może świat zażegą.
My nienawidzim zła dzisiejszej doby — —
Jutro?... To jutro?... Jutro, marzyciele,
Przeklinać własne swe będziecie próby,
Nowe zło w nowem odkrywając dziele;
Jutro, trawieni nowemi choroby,
Szukać będziecie nowego systemu
Leków i zbawień, a nie mogąc męce
Ulżyć, bezsilni załamiecie ręce,
Bo póki ludziom trwać, póty trwać złemu.
Lecz naprzód, naprzód! Niechaj zbrodnie stare
Ustąpią nowym — nim się te przeżyją —
Ścigajcie marzeń cudną, a czczą marę,
Jak ci ścigali, co dziś w grobach gniją.
Lecz naprzód, naprzód! Łudźcie się, Ikary,
Że potraficie dolecieć do słońca,
W zdobyte niebo wstąpić z człowieczeństwem,
A potem — widźcie, że próżne ofiary,
Że przemoc złego jest wiecznotrwająca,
Zwątpcie, zrozpaczcie i gińcie z przekleństwem!
Bo niczem innem nie jest chód ludzkości,
Tylko przemianą zła wieczyście trwałą;
O Chrystusowej marząc wszechmiłości,
Deptajcie wroga, co was przedtem deptał,
Drżąc, że już rośnie mściciel z jego kości,

Co was obali, jak kłodę zbutwiałą,
I znów was zdepce, gdy już krew wychłeptał.
Brutalna siła, która rządzi światem,
Wybawicielem nie jest, ani katem:
Ślepa i głucha, zimna, obojętna,
Idzie bez celu i niewładnąc, włada,
Niedba, gdzie jakie pozostawi piętna,
Kto pod jej nogą powstaje, kto pada?
Nienawiść dźwignią jest świata — — niech działa
Ta najsilniejsza potęga ludzkości:
Jeśli potrafi i dusze i ciała
Na wskroś przekształcić, zabić w ludziach zwierzę:
Wówczas dopiero w królestwo miłości
Ewangelicznej na ziemi — uwierzę.

## Duch.

Zda mi się czasem w noc,
Że duch mój idzie przez miasta i sioła
Z płomiennym mieczem nicestwień anioła,
Każdy krok jego jest jako chód burz,
Obala gmachy i pałace w kurz,
Wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
I nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ludzkość mu cała klnie,
Przekleństwa ciska mu na głowę hardą,
A on jej zimną odpowiada wzgardą,
I dumny, wyższy nad ten cały tłum,
Idzie, jak wichrów i pożarów szum,
Wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
I nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ze snu otrząsam się
I ducha tego o oczach szatańskich,
Chcę spętać, przykuć do turni tatrzańskich,
Lecz on, drwiąc, ręce me odpycha precz,
I swój płomienny w górę wznosząc miecz,
Wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
I nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

I ulec muszę mu,
A on zapala gwiazdę na swej głowie
I pokazuje mi ziemskie pustkowie,
Gdzie zniszczył wszystko: i dobro, i zło —
I miecz odrzuca złoty ogniów rdzą,
I utrudzony po unicestwieniu,
Spoczywa w głuchem, wieczystem milczeniu.

## Dziś.

Dawniej się trzeba było zużyć, przeżyć,
By przestać kochać, podziwiać i wierzyć;
Dziś — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem.
Dzieci krytyki, wiedzy i rozwagi,
Cudzych doświadczeń mając pełną głowę,
Choćby nam dano skrzydła Ikarowe,
Nie mielibyśmy do lotu odwagi.
My nie tracimy nic, bośmy od razu
Nic nie przynieśli — i tylko nam bywa
Tak źle, że na złe takie brak wyrazu,
A serce pęka w nas i we krwi pływa.

## Któż nam powróci...

Któż nam powróci te lata stracone
Bez wiosennego w wiośnie życia nieba?...
Wołają na nas, że w złą idziem stronę
Precz o świat troskę rzucając powinną,
A czy pytają się nas, co nam trzeba,
I czyśmy mogli obrać drogę inną?

Kto z was policzył te gorzkie godziny
Daremnych pragnień, żrących naszą duszę?
Kto zmierzył smutku naszego głębiny
Bez dna i brzegu? Kto wie, jakie ducha
Niepodległego straszne są katusze,
Gdy zerwać swego nie może łańcucha?

Spójrzcie nam w mózgi — — zgryzły je, strawiły
Wrodzone ludziom daremne pragnienia.

Wołacie na nas: »Jesteśmy bez siły,
Dajcie nam słowa wiary i otuchy« — —
A nam któż daje słowa pocieszenia?
A któż mdlejące nasze wzmacnia duchy?

Któż nam powróci te lata stracone
Bez wiosennego w wiośnie życia nieba?...
Chcecie w nas widzieć dźwignię i obronę,
Żądacie od nas zbawień i pomocy,
Lecz my, z waszego wykarmieni chleba,
Jak wy, nie mamy odwagi i mocy,

## Nad polem pustem...

Nad polem pustem, szerokiem, głuchem,
Ćma ptaków czarną zawisa chmurą,
Krążą, jak liście gnane podmuchem
Wietrznego wiru, kracząc ponuro.
Pośród czarnego ptaków odmętu,
W skłębionych skrzydeł ruchomej fali,
Lśni jeszcze słońce. Tak od okrętu,
Co się w czas burzy morskiej zapali,
Ponad bałwanów chmurę spiętrzoną,
Błyskają ognie krwawe czerwono.
Zniknęło słońce... Czyż tej powodzi
Ptaków nad polem pustynnem owem
Nigdy już, nigdy nie będzie końca?
Wiecznież to pole będzie jałowem
I nic się na niem nigdy nie zrodzi
Oprócz bezdennych tęsknot do słońca?...

## Koniec wieku.

Przekleństwo?... Tylko dziki, kiedy się skaleczy,
Złorzeczy swemu bogu, skrytemu w przestworze.
Ironia?... Lecz największe z szyderstw czyż się może
Równać z ironią biegu najzwyklejszych rzeczy?

Wzgarda... Lecz tylko głupi gardzi tym ciężarem,
Którego wziąć na słabe nie zdoła ramiona.
Rozpacz?... Więc za przykładem trzeba iść skorpiona,
Co się zabija, kiedy otoczą go żarem?

Walka?... Ale czyż mrówka rzucona na szyny
Może walczyć z pociągiem, nadchodzącym w pędzie,
Rezygnacya?... Czyż przez to mniej się cierpieć będzie,
Gdy się z poddaniem schyli pod nóż gilotyny?

Byt przyszły?... Gwiazd tajniki któż z ludzi ogląda,
Kto zliczy zgasłe słońca i kres światu zgadnie?

Użycie?... Ależ w duszy jest zawsze coś na dnie,
Co wśród użycia pragnie, wśród rozkoszy żąda.

Cóż więc jest? Co zostało nam, co wszystko wiemy,
Dla których żadna z dawnych wiar już nie wystarcza?
Jakaż jest przeciw włóczni złego twoja tarcza
Człowiecze z końca wieku?... Głowę zwiesił niemy.

---

## Prometeusz.

Ogniu ty, co tam w ziemi wnętrznościach głęboko
Wresz, huczysz i potrząsasz kamienną opoką:
Ty potęgo straszliwa, wstań! Rwij ziemi łono,
Z rozdartych jej wnętrzności ruń lawą czerwoną,
Tocz odmęty płomienne na skorupę ziemną,
I wszystko, wszystko, wszystko niech ginie wraz ze
[mną!
Oto do przykutego do tej twardej skały,
Tam z dołu, tam zdaleka, płyną ludzkie jęki,
Ryczące, jak wezbranych oceanów wały!
Biada! Biada!... Gdzież niema nieszczęścia i męki?
Kędyż niedostąpiło zło? Z jakiejże strony
Nie wydziera się w niebo głos bólu szalony?
Biada! Biada!... Otom ja, w gryzącym łańcuchu,
Ja, głodny i spragniony, bez woli, bez ruchu,
Z poszarpanym przez sępa bokiem i wątrobą,
Trawiony najstraszniejszą ze wszystkich chorobą:

Rozpaczą beznadziejną — — ja, co mym widokiem
Gwiazdy straszę na niebie świecące wysokiem,
Ja, nędzarz, od którego nawet huragany
Uciekają, na Kaukaz kiedy się zapędzą;
Ja, wszystkim okropnościom na pastwę wydany;
Ja, jak słońce światłością, otoczony nędzą:
Otom jest cierpień ludzkich wcielonym obrazem...
Biada! Biada!... O matko-rodzicielko, ziemio,
Wzbudź te ognie, te żary, co w twem wnętrzu
[drzemią,
Niech runą — — i uczynią cię wodą i głazem!...
Jak tygrys, co ukryty w nadwodnej komyszy,
Czyhając na gazele, krwią i mordem dyszy:
Tak nieszczęście na ludzi czyha niestrudzenie
Wiecznie, wszędzie — — przemocne tak chce Prze-
[znaczenie.
Dziś, gdy wiem, co jest cała, straszna niemoc woli,
Gdy każdy atom ciała i ducha mię boli,
Od wieków na tej skale cierpiący samotnie
Współczuję dziś z człowiekiem o! lepiej stokrotnie,
Niżem współczuł, gdym ogień z nieba dłań wy-
[kradał —
I gdybym dziś wszechmocą Przeznaczenia władał,
Ze wszystkich szczęść najwyższe rzuciłbym ludzkości,
Nicestwiąc ją i grzebiąc na wieki w nicości!

## Widziadło.

W ponurą rozpostarte dal
Północne szumi morze,
Wśród mgły ciągnących z wichrem fal
Dźwięk rogu grzmi w przestworze.

Z posępnych głusz, z odmętów mgły,
Gdzie odpoczywa burza
I grom wśród chmur wiszący drży:
Widziadło się wynurza.

W samotnej łodzi, którą fal
Kołyszą mętne piany,
Wypływa rycerz, w czarną stal
Od stóp do głów skowany.

Na hełmie pęk ma czarnych piór,
Miecz mu pod ręką leży,
Płynie, jak chmura pośród chmur,
Jak piorun, nim uderzy.

Do ust przykłada długi róg,
  Dech z piersi czerpie wzdętej
I grzmi, jak burz północnych bóg,
  Na mgły i wód odmęty.

Fale zawichrza rogu dźwięk,
  Ponury i rozległy,
Zda się, w ogromny wichry pęk
  W gardło się rogu zbiegły.

Fale się mącą, przestwór drży,
  Sklep nieba, zda się, runie —
On, nieruchomy, płynąc grzmi
  Na rogu swym piorunie.

Wstrząsa ląd cały wszerz i wzdłuż
  I głębię mórz bezdenną,
I ginie, trąbiąc pośród głusz,
  Ponurą pieśń wojenną.

A długo jeszcze rogu dźwięk
  Przez wód przelata puszcze,
I wśród mgły słychać wichrów jęk
  I morze głucho pluszcze.

## Chrystus i Magdalena.

(Do obrazu Edelfelta »Christ et Madeleine«).

---

Błękitne mgły pajęcze
Owiały drzewa śpiące,
Po siwych wodach tęcze
Włóczyło złote słońce.

Słoneczne zamyślenie
Świat owładnęło cały,
Gdy Maryi Magdalenie
Zjawił się Zmartwychwstały.

Zgięła ją cześć i trwoga,
Żałość ścisnęła łono — —
A On, szedł tam, do Boga,
W dal senną, nieskończoną.

W błękitne mgły przejrzyste
Szedł biały w blaskach słońca,
A ona szepcąc: Chryste!...
Patrzała nań klęcząca.

---

## Wizya.

Szara i głucha pustka w bezmiary idąca
Oświetlona od blasku złotego miesiąca.

Wzrok zasłaniając dłonią, w koronie cierniowej,
Z krwią ciekącą z rozpacznie pochylonej głowy
I zakrzepłą na wichrem roztarganych włosach,
Biegnie cień, w długiej szaty rozwianych osłonach,
Zgięty, jakoby ciężar dźwigał na ramionach,
A krwawym potem znaczy ślad po nocnych rosach.

Biegnie w dal — przed nim pustka w bezmiary idąca,
Oświetlona od blasku złotego miesiąca.

Cień ów ściga chmar ludzkich chmura nieprzejrzana:
Nagie, sine ich ciała są, jak jedna rana,
Krwią broczące wstępują w krwawe cienia ślady
I wytężają za nim z przekleństwem ramiona —

W oddali widać widmo cezara Nerona
W ogniach stosu i widmo mnicha Torkwemady.

A tam, gdzie skraj ma pustka w bezmiary idąca,
Majaczy krzyż przy blasku złotego miesiąca.

## Z »Exodus«.

(Rozdział XVII).

A onego czasu
Wyruszył był Amalek z hufcami mnogiemi,
Wśród trąb grzmotu i mieczów chrzęstnego hałasu
Izraelowi czynić wstręt w rafidzkiej ziemi.

A gdy kroczył przez pola, pyszny i zuchwały,
W miecącej ognie zbroi, na czele tysięcy:
Ziemia drżała i drzewa korony schylały,
A na ród Izraela padł przestrach jagnięcy.

Wonczas do Jozuego rzekł Mojżesz: A oto
Wybierz męże i wynijdź w pole przeciw temu,
Przez ręce moje ręce Pana ich wygniotą,
Bo jest Pan na niebiesiech mocny, ufaj Jemu.

Oto jutro o brzasku dnia wstąpię na wzgórze,
W ręce mojej od Boga daną laskę dzierżąc,
I mur Amalekowej mocy na szczęt zburzę,
Bo jest Pan na niebiesiech. Więc idź, Jemu wierząc.

Tak rzekł. I szedł Jozue precz i wybrał męże,
A przez noc całą ognie świeciły z stron obu,
I chrzęst czyniły groźny ostrzone oręże,
A w górze na niebiosach była cisza grobu.

A gdy rano zabłysła zorza i na trawy
Cień rozpoczęły rzucać palm liście zwieszone,
Przy grzmocie trąb ruszyły wojowników ławy
Bić mieczem o pancerze, jak młotem o bronę.

Zaś Mojżesz szedł na wzgórze, po oboim boku
Mając za towarzyszów Chura z Aaronem:
Stanął i spojrzał, kędy krwiożerczemu smoku
Rówien, walczył Jozue żelazem czerwonem.

I podniósł Mojżesz rękę, a wraz, zbywszy męstwa,
Cofnął się wstecz Amalek, dając Panu chwałę,
Jak się łoś cofa, gdy go leśna wstrzyma gęstwa,
Podobny strumieniowi, co napotka skałę.

A gdy opadła ręka Mojżesza — jak kłosy
Wiatr w tył zgina, podobny orłowi z błękitów
Grożącemu jagniętom owcy krętowłosej:
Amalek król wstecz hufce parł Izraelitów.

Ale ręce Mojżesza osłabły, więc ona
Para mężów, Aaron i Chur, kamień spory

Wziąwszy, podłoży podeń i siadł, a ramiona
Oparłszy na ich barkach, podźwignął do góry.

I stali po oboim Mojżeszowym boku
Chur i Aaron, a zaś u stóp ich, na dole,
Walczył Jozue, rówien krwiożerczemu smoku,
Kitę hełmu na wichrów rozpuściwszy wolę.

I gdy blask szedł po mieczów skrwawionych tysiącu,
I migały na zbrojach łskliwe błyskawice;
Mojżesz, jako słup biały stał na wzgórzu w słońcu,
Topiąc w błękitnem niebie natchnione źrenice.

I widział tam twarz Pańską, podobną czerwono
Świecącemu się słońcu, jak żar, gdy przestworza
Schną w ogniu huraganów, gdy okręty toną
I ryczącemu niebu wtóruje ryk morza.

I widział tam twarz Pańską, podobną do grzmotu
Wiszącego w obłokach i do oceanu
Grożącego burzami i podobną złotu
Co weseli ubogie i wodom Jordanu —

Umiłowanym wodom wielkiej, świętej rzeki,
Płynącej gdzieś w odległej obiecanej ziemi,
Wśród palm sennych i cichych, chroniących od spieki,
I kwiatów woniejących woniami cudnemi.

Patrzył w twarz Pańską, skrytą, a Jemu widzialną,
I drżał, jakby ogniste gromu pióropusze
Wisiały mu nad głową, a wraz tryumfalną
Czuł moc przenikającą całą jego duszę.

I czuł, jak z duszy jego przez wzniesione ręce
Idzie dreszcz o kłach białych i strach krwawooki
I lęk, lodowych wężów ciskający wieńce
W Amaleka czerwone hufce od posoki.

A nie ustały ręce Mojżesza od trudu,
Aż do zachodu słońca, gdy nieprzyjacioły
Jozue, wódz zwycięski wybranego ludu,
Gnał przed sobą, jak powódź gna stepem bawoły.

## Z »Exodus«.

(Rozdział XIX).

---

A w dzień trzeci ony
Po ranu, błyskawice błysły na niebiosach
I niebo było głowie podobne zmierzwionej
Smoka, gdzie wicher igra w płomienistych włosach.

A kiedy błyskawice pruły nieb sklepienie,
Jak mewy prują morze skrzydeł swoich końcem,
Połyskując piórami pod słońca promienie,
Podobne do pierzastych strzał, olśnionych słońcem:

:

Grzmot z rykiem się przewalał przez ciche bezmierza,
Jak bawół, co na pustkach stepowych się tarza,
Łbem rogatym potężnie o ziemię uderza,
I rykiem gardła płoche gazele przeraża.

A kędy obłok zawisł gęsty i ponury,
Jak dym chmurą zawisa nad płonącym domem,

Ponad wierzchem Synai, wniebowstępnej góry:
Grały trąby mosiężne z rozgłosu ogromem.

I pruł falę powietrzną rozgłos trąb ze grzmotem,
Jako stado delfinów, co ocean porze,
Z pletw i nozdrzów hałasem, z ogonów łoskotem,
Podobne wichrom, szumem pędzącym po borze.

Jak ciężkie chmury, z za gór wygonione tuczą,
Lecą i na przestworach wiszą widnokręga:
Grzmoty trąb, z nieb wysokich spadające, huczą,
A pokąd jasność słońca sięgnęła, grzmot sięga.

I lękał się lud w trwodze, a Mojżesz z obozu
Wywiódłszy go, naprzeciw Bogu wiódł ku górze
Wśród deszczów niepokoju i przerażeń mrozu —
I szli, kędy płomienne wichrzyły się kurze.

Albowiem na Synai, skąd szedł kurz płomieni
I dym buchał kłębami: zstępował z niebiosów
Pan, wśród błyskawic skrzących i ogniów czerwieni,
Ryczących gromów i trąb mosiężnych rozgłosów.

I drżała wszystka góra od stóp aż do głowy,
I drżała wszystka ziemia, co przyległa w trwodze,
Jak lwica, gdy zobaczy z pustyni stepowej
Las na wzgórzach Libanu w łunie i pożodze.

I drżało słońce krwawe i odmęty w morzu,
I drżąc niebo dzwoniło gwiazdy niewidnemi,
A jako kuropatwy przypadają w zbożu,
Gdy wzleci jastrząb — wichry przypadły ku ziemi.

I gdy trąby ogromne brzmiały coraz dalej
I coraz to potężniej: zstąpił pan na górę
W dymu, ognia i grzmotu wichrzącej się fali,
Otoczony w obłoków siność i purpurę.

I wezwał Pan Mojżesza na wierzch góry onej
I drżał Mojżesz, jakgdyby z przepastnych bezdeni
Wystąpiwszy, ocean ku niebu spiętrzony,
Wsparł się na górze pośród ryczących płomieni.

I drżał Mojżesz, jak gdyby ogień z wnętrza ziemi
Wystąpiwszy, przez chmury okolon ryczące,
Pętał płomienie swoje z blaski słonecznemi
I na głowie położył, jak koronę, słońce.

I w chmurze się ukazał Pan, ścieląc ciemnotę
W źrenicach Mojżeszowych, pod dłoniami skrytych,
Jakoby mu na oczy padło słońce złote,
Wśród trzasku gwiazd, urwanych z śrub w niebiosa
[wbitych.

I padł Mojżesz na twarz swą przed Pańskiem obli-
[czem,
I w sercu się przed Pańskim korzył majestatem,
I znikł wzrokowi ludu w mroczu tajemniczem,
A lud stał pod sinością nieba i szkarłatem.

## Sen rzeczywisty.

---

Miałem sen dziwny... Noc była głęboka,
Niebo, jak całun, czarne, miasto duże,
Plac, domy, kościół i wieża wysoka.
Obok kościoła, tuż przy bramie, z ziemi
Wybuchał płomień i w blasków purpurze
Jaśniała wieża, a ciemna pomroka
Sfer lśniła łuną. W prawo od płomienia
Starcy z trąbami stali mosiężnemi,
W szatach, w jakich nam malują proroków
Dawnej Judei. Bliższych opromienia
Ogień jaskrawo, dalsi w toni mroków
Ginęli oczom. Trąby tych, co stali
Na przodzie, lśniły, jakoby ze złota;
Głębiej, tu owdzie na glansie metali,
Jak błędny ognik skacząc, blask migota.
Starce ci, rzekłbyś, wykuci w kamieniu,
W takim spokoju stali i milczeniu

I w majestacie tak wielkiej powagi,
A twarze mieli smutne i ponure. —
Od strony wieży, w lewo, przy płomieniu,
Mężczyzn i kobiet czernił się tłum nagi:
Wszyscy od ognia bijącego w górę,
Ciała cofali wstecz, w świetle bronzowe,
W tył prężąc ręce i w tył tężąc głowę,
Tak, że im żebra znać było przez skórę — —
Widać, okropną przeniknięci trwogą,
Cofnąć się, uciec chcą, ale nie mogą,
Jakby przyrośli stopami do ziemi.
Usta otwarte mieli, jak do wrzasku,
Skrzywione strachem, jednak byli niemi,
Jakoby głos im na błyszczących zębach
Lodem się ścinał... W ich oczach, przy blasku,
Widziałem rozpacz... Tłum ten w dymu kłębach
I w cieniu nocnym ginął gdzieś daleko,
Ledwo majacząc przy kościelnych zrębach. —
A po miejskiego placu stronie drugiej,
W półświetle bladem, kroczył orszak długi
Mężczyzn i kobiet, w szatach, co się wleką.
Wszyscy zwieszoną mieli na pierś głowę
I szli powoli. Przed pochodem owym
Dwaj starcy: jeden, jak sobie Jehowę
Wyobrażamy — — kto drugi był, nie wiem?...
Orszak w milczeniu sunął się grobowem
W jakąś głęboką i ciemną ulicę...

Nagle Jehowa wzniósł w górę prawicę
I dym się skłębił gęściej nad zarzewiem,
A płomień buchnął złotym słupem w górę,
Miecąc na wieżę blasków błyskawice
I na strop ciemny rzucając purpurę.
A trąby do ust podnieśli ci, którzy
Przy ogniu stali i mosiądz zadźwięczał,
Jak głos zdaleka nadchodzącej burzy,
I w ciszy nocnej grzmiał głucho i jęczał.
Wtem tłum ów nagi pchnęła jakaś siła
Ku płomieniowi — — ale starzec wtóry
Podniósł powoli prawicę do góry
I groźna gędźba trąb się uciszyła,
Albowiem starce odimali owi
Usta grzmiącemu trąb swych mosiądzowi.
I spadł słup ognia, a ci obnażeni
Wstecz się cofnęli od wrących płomieni.
Lecz znów wzniósł rękę Jehowa do góry
I znów tak samo trąby zahuczały
I pierwszy obraz powtórzył się cały — —
I rękę dźwignął znowu starzec wtóry
I wstrzymał wszystko... Lecz gdy po raz trzeci
Jehowa znak dał, a w oczach mu świeci
Skra złowróżąca: starzec ów już ręki
Nie wzniósł i spojrzał tak ku orszakowi,
Jakoby rzec chciał: Oto się już moja
Moc wyczerpała... A wraz ognia pęki

Strzeliły w górę, aż zalśnił szczyt wieży
Od iskrzącego błyskawic zawoja,
A blask na blachach kościelnych się mrowi,
Jakoby na nie padały ogniste
Krople deszczowe... Trąby się ozwały,
Kłócąc milczenie nocy uroczyste — —
Huk ich rozległy w przestwór ciemny bieży
I świat napełnia druzgocącym grzmotem — —
Słychać, jak w dali drżą pękając skały,
Domy i kościół walą się z łoskotem,
A tłum ów nagi, nagle naprzód pchnięty,
Runął w płomieni skłębione odmęty.
Zaś ci, co byli za Jehową, chcieli
Jakoby biedz tam, gdzie w ziemnej gardzieli
Ich nadzy bracia w płomieniach ginęli...
Ale Jehowa rozpostarł ramiona,
A moc z nich biła wielka, nieskończona,
Nieprzejednana i niezwyciężona...
I spuścił ręce i w ulicę ową
Wiódł niemy orszak... Tu wszystko ściemniało — —
Ogień gdzieś zniknął z nagą rzeszą całą,
Tylko widziałem jeszcze za Jehową
Idący orszak długo i słyszałem
Jeszcze trąb grzmoty brzmiące coraz ciszej — —
Aż wreszcie nic już nie mąciło ciszy
I ciemno stało się w przestworzu całem.

## Przebudzenie Jehowy.

Jehowa się przebudził i spojrzał dokoła:
Wszystko było, jak wówczas, gdy zamknął powieki
Przed czasem, który tylko On sam zmierzyć zdoła.

Wszystko znalazł w porządku, co stworzył przed
[wieki
Światy szły po wieczystej, wytkniętej im drodze,
Idąc wieków miliardy bez Jego opieki.

Rozprężył swe ramiona i uczuł, że wodze
Ruchu wziąwszy, wstecz mógłby zwrócić światów
[kroki,
Jak swój bezwolny, cichy szyk zwracają wodze,

Lub jak wicher wstecz cofa płynące obłoki;
Uczuł, że mógłby drugie wzbudzić w próżni życie,
W nowe kształty przyoblec dawnych istnień zwłoki,

Albo wszystko bez śladu zniszczyć we wszechbycie,
Gdyby chciał!... Ale wszystko dobrem Mu się zdało,
I rad z Siebie, oczyma wodził po błękicie.

Wtem przy słońcu planetę spostrzegł ciemną, małą,
Dawno wygasłą. Wówczas z oczu złowróżące
Skry Mu poszły, że w ogniach całe niebo stało.

I rzekł do Swojej duszy: Oto złe roztrącę!...
I pchnął planetę — — jako kula kryształowa
O rozpalony metal, rozprysła o słońce.

Zasłoń ramieniem pierś Twą, nim zaśniesz, Jehowa,
Niech złom planety w serce się Twoje nie wwierci,
Bo każdy pył jej w sobie tyle jadu chowa,

Że, nieśmiertelny, próżno z bólu zwałbyś śmierci!...

## Geniusze.

Bezduszna, ciemna, bezmyślna ludzkości,
Czembyś ty była, gdyby nie geniusze,
Co blaskiem swojej świecą ci jasności,
Myśl ci swą dają i dają ci duszę?

Jak oceany tyś jest nieprzejrzane,
Martwe pustkowie wodne we wszechbycie —
Oni, jak wyspy po wodach rozsiane,
Martwym pustkowiom nadające życie.

Was ja jedynie wielbię, mocne duchy,
Co ujarzmiacie miliony swą siłą,
Świat okuwacie w woli swej łańcuchy,
I sterujecie nędzną ziemską bryłą.

## Hymn do Nirwany.

Z otchłani klęsk i cierpień podnoszę głos do ciebie
Nirwano!
Przyjdź twe królestwo jako na ziemi, tak i w niebie
Nirwano!
Złemu mnie z szponów wyrwij, bom jest utrapion
[srodze
Nirwano!
I niech już więcej w jarzmie krwawiącem kark nie
[chodzę
Nirwano!
Oto mi ludzka podłość kałem w źrenice bryzga
Nirwano!
Oto się w złości ludzkiej błocie ma stopa ślizga
Nirwano!
Oto mię wstręt przepełnił, ohyda mię zadusza
Nirwano!
I w bólach konwulsyjnych tarza się moja dusza
Nirwano!

O przyjdź i dłonie twoje połóż na me źrenice,
Nirwano!
Twym unicestwiającym oddechem pierś niech sycę
Nirwano!
Żem żył, niech nie pamiętam, ani wiem, że żyć [muszę
Nirwano!
Od myśli i pamięci oderwij moją duszę
Nirwano!
Od oczu mych odegnaj złe i nikczemne twarze
Nirwano!
Człowiecze zburz przedemną bożyszcza i ołtarze
Nirwano!
Niech żywot mię silniejszych, słabszych śmierć nie [uciska
Nirwano!
Niech błędny wzrok rozpaczy przed oczy mi nie [błyska
Nirwano!
Niech otchłań klęsk i cierpień w łonie się twem [pogrzebie
Nirwano!
I przyjdź królestwo twoje na ziemi, jak i w niebie
Nirwano!

— —

## Podczas burzy.

Wciągam wicher, jak rumak, gdy na step wybieży
Wicher od Tatr wiejący, bystry, ostry, świeży — —
Zda mi się, że potargam wszystkie ziemskie sidła,
Że mi u ramion rosną długie orle skrzydła
I poniosą mię w przestwór... Słońce się zachmurza,
Śmignął z chmur wąż płomienny, zahuczała burza,
Wodospadem deszcz lunął. W tym olbrzymim
[szturmie
Wichru, deszczu, piorunów: duszy mej muzyka
Budzi się — głos w niej zagrzmiał, jak w wojennej
[surmie,
Melodya ją napełnia szalona i dzika,
A skrzydła orle, co mi u ramion wyrosły,
W niszczących potęg chaos duszę mą poniosły.

## Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Człowiek zginąć musi —
Cóż, kto pieniędzy niema, jest paryasem,
Nędza porywa za gardło i dusi —
Zginąć, to zginąć, jak pies, a tymczasem,
Choć życie nasze splunięcia nie warte:
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Niechaj pasie brzuchy
Nędzny filistrów naród! My artyści,
My, którym często na chleb braknie suchy,
My, do jesiennych tak podobni liści,
I tak wykrzykniem: gdy wszystko nic warte,
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Duma naszym bogiem,
Sława nam słońcem, nam królom bez ziemi,
Możemy z głodu skonać gdzieś pod progiem,
Ale jak orły z skrzydły złamanemi —
Więc naprzód! Cóż jest prócz sławy co warte?
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! W piersiach naszych płoną
Ognie przez Boga samego włożone:
Więc patrzym na tłum z głową podniesioną,
Laurów za złotą nie damy koronę,
I chociaż życie nasze nic nie warte:
Evviva l'arte!

## Słuchacze.

W ciemności nieba bezgwieździstej,
Gdzie wzrok, jak dźwięk bez echa tonie,
W tęczy ołowianej, mglistej,
Posępny krąg miesiąca płonie.

Przez pola puste, szare, głuche,
Płynie gdzieś wielka, cicha rzeka;
Ponad nią leżą pnie wierzb suche,
Księżyc białością je powleka.

Słuchając szumu rzeki, błądzę — —
Szumią w dal wielkie fale senne,
I połyskują, jak mosiądze,
Wlokąc księżyca łzy promienne.

Rozmarza mię fal monotonność,
I mglistość w ciemni księżycowa,

I ziół nadwodnych nocna wonność,
I z ust mych wolno płyną słowa.

A gdzieś po za mgłą wstają szarą
Cienie, wolno się ku mnie wleką,
I zasiadają całą chmarą
Na pniach wierzbowych ponad rzeką.

Wsłuchują się w mą pieśń, zadumy
Pełną, w otchłanie gdzieś lecącą,
Pieśń, której słowa są jak szumy
Wód, co się w głuchych grotach mącą.

Wsłuchują się w mą pieśń, bezdennej
Tęsknoty pełną, pieśń co płynie
W mistycznych uczuć bezimienny
Świat i w głębinach ciemnych ginie.

Widzę w księżyca mgłych posnowach
Łzy, co spływają im na lice;
Te cienie czują w bladych słowach
Krwawą mej duszy tajemnicę.

Te cienie widzą w duszy głębi
To nieujęte i bezkresne,
Co konwulsyjnie w niej się kłębi,
Wbrew woli czute i bolesne.

Najmilej mi wśród tych słuchaczów,
Widzących każde serca drgnienie — —
Słucham ich cichych, smutnych płaczów,
I pieśń ma łamie się w westchnienie.

## Życie.

Wszedłem — — świat mi się zdał jak jeden cud,
Czarowna wizya, w ekstazie zrodzona...
Od gór do lasów, od nieba do wód

Biegła ma dusza zachwytem szalona...
Jakbym ku sobie wszechświat garnąć chciał,
Młodem ku niemu wyciągnął ramiona...

Z lasów i łanów, z wód, z wysokich skał,
Z niebiosów, zewsząd na moje zachwyty
Bóg szczęścia uśmiech mi w odpowiedź słał.

Biec chciałem, cudem i czarem niesyty,
Dalej i dalej!... Wtem owiał mię chłód
I w przerażeniu stanąłem, jak wryty.

Krew mi się wszystka ścięła w żyłach w lód:
Straszna przede mną stała upiorzyca,
Z piekielnych kędyś wyzionięta wrót.

Trąd jej okrywał trupio-żółte lica,
A oczy miała żarłoczne, jak sęp,
Którego nigdy i nic nie zasyca.

W zmierzwionych włosach gadów wił się kłęb,
Ohydna, straszna weszła mi na drogę,
Odziana w łachman gnijący i strzęp.

Śmiertelną czując odrazę i trwogę
Chciałem uciekać, ale woli wbrew
Czułem, że nóg mych poruszyć nie mogę.

Rozpacz mię wówczas porwała i gniew,
Chciałem poczwarę usunąć przebojem
Z drogi mej, w głowie huczała mi krew.

Chciałem biedz dalej za tem szczęściem mojem,
Którem mi świata uśmiechał się bóg,
Za pięknem, światłem, weselem, pokojem.

Lecz próżno! Ruszyć nie mogłem mych nóg,
A wiedźma ku mnie zbliżała się ona,
Pełnemu wstrętu i śmiertelnych trwóg.

I zrozumiałem, że próżna obrona,
Że nie potrafię ujść tych strasznych rąk,
Że mnie przyciśnie poczwara do łona

I wśród piekielnych obrzydzeń i mąk
Zapładniać będę musiał tę ohydną
I w jej uściskach pędzić dni mych ciąg.

A ona, dłonią bezczelnie bezwstydną
Jęła obnażać swój okropny kształt
I w swej nagości stanęła mi widną.

Każdy łachmanów odsłoniła fałd,
A oczy moje zpod powiek skostnienia
Patrzyły, woli mej zadając gwałt.

I pochwyciła mnie w swe uściśnienia — —
O dziwna, straszna ironio! Jam czuł
Żądzę wśród wstrętu, rozkosz wśród cierpienia.

Jej wzrok podniecał, choć jej oddech truł —
I pot mi czoło zlewał już obficie
A jeszczem nie rwał węzła, co nas skuł.

Ktoś jest? — spytałem. Odrzekła mi: »Życie«.

## Czemu dziś mój kochanek ze schylonem czołem...

»Czemu dziś mój kochanek ze schylonem czołem
Siedzi tak zadumany? Czemu lice twoje
Od bladości tak białe, jak poszewek płótno,
Gdzie tylekroć się wsparły głowy nasze społem,
Gdy byliśmy jako dwa splecione powoje — —
Przychodzę cię popieścić — czemu ci tak smutno?

Patrz: już księżyc wypłynął na nieba sklepienie,
Cicha nocy muzyka grać już rozpoczyna,
Jakby księżyc był harfą wdziękami rozrzutną,
A strunami drgające, srebrzyste promienie;
Jestto błogosławiona kochankom godzina — —
Przychodzę cię popieścić — czemu ci tak smutno?

Patrz: już cichy mrok nocny mgłą owinął drzewa
Ćma skrzydłami o szyby okienne trzepoce,
Mknie nietoperz zajęty pogonią okrutną,
Wszystko staje się szare, usypia, omdlewa...

Zgaś świecę — — gdyśmy razem, zbyt krótkie są
[noce!
Przychodzę cię popieścić — czemu ci tak smutno?«

Kochanko, wczoraj różę przyniosłaś mi świeżą,
Dziś straciła już zapach i kolor, umiera;
Kiedym na ten kwiat patrzał, dziwną wizyę mia-
[łem —
Zdało mi się, że w grobie zwłoki twoje leżą,
A grób ten się powoli przedemną otwiera,
I dźwignęło się wieko trumny nad twem ciałem.

Byłaś podobna sobie, lecz jakże zmieniona!...
Cała woskowej barwy, twe oczy błękitne
Zapadły się wgłąb czaszki, zamglone i szkliste;
Rój robaków się wgryzał do twojego łona,
Kłębił się pożerając biodra aksamitne,
Wkręcał się w twoich włosów jedwabie złociste.

Gdyś weszła tu, zniknęło okropne zjawisko,
Lecz pamięć jego w mózg mój wdziera się namiętnie
Niosąc ze sobą zgrozę, szyderstwo i trwogę —
Czujesz?... Śmierć jest nad nami tak blizko, tak
[blizko,
Słyszałbym krok jej w każdem serca twego tętnie,
Zbyt mi straszno i smutno — — pieścić cię nie
[mogę...

## Salomon i Sulamitka.

SULAMITKA.

Twe oczy jak pochodnie gorą, od których noc się
[rozpłomienia.

SALOMON.

Wśród rzęs twe oko jak jezioro, które nadwodny
[gaj ocienia.

SULAMITKA.

Twe usta są jak wiśni grona purpurą malowane
[ciemną.

SALOMON.

Ust twoich róża rozchylona motyle nęci ponademną.

SULAMITKA.

Pierś twa, jak brama, kędy woje wroga łoskotem
[trwożą stali.

SALOMON.

Jak dwa gołębie piersi twoje, co na śnieżystej siedzą
[hali.

SULAMITKA.

Twe słowa jak najsłodsze miody, jako szum cedrów
[twoja mowa.

SALOMON.

Jak dźwięczny szelest górskiej wody, jak zapach
[myrry twoje słowa.

SULAMITKA.

Jak płomień podczas nocy mroźnej, tyś pożądany
[mnie i drogi.

SALOMON.

Jak łódź do brzegu z fali groźnej, spieszę, o luba,
[w twoje progi.

SULAMITKA.

Pierś twą chcę czuć na mojem łonie, w uściski
[pochwyć mię palące.

SALOMON.

Zstokrotnić chciałbym moje dłonie i ust i źrenic
[mieć tysiące.

SULAMITKA.

Ramiona twoje mnie unoszą, jak róża od gorąca,
[mdleję.

SALOMON.

Poję się twego tchu rozkoszą, jak palma w piaskach,
[gdy wiatr wieje.

SULAMITKA.

Obłok zasłania me źrenice, w otchłań upadam, w głę-
[bię ciemną...

SALOMON.

W oczach mych skrzą się błyskawice, ziemia zapada
[się podemną...

SULAMITKA.

O luby! szczęścia to godzina, nad wszystkie życia
[chwile święta.

SALOMON.

O luba! chwila to jedyna, gdy się o śmierci nie
[pamięta.

SULAMITKA.

Mądrem i pięknem będzie dziecię, którem poczęła
[w tej godzinie.

SALOMON.

Jak w pączku często kona kwiecie, w łonie niech
[twojem dziecko zginie.

SULAMITKA.

Od zgrozy ciało me drętwieje — — przecz słowu
[dałeś wyjść strasznemu?

SALOMON.

Li tylko to, co nie istnieje, o luba, nie podlega złemu.

## Kwiat symboliczny.

Olbrzymi, świetny kwiat — odurza mię swą wonią,
Oślepia barwą, w sieć chwyta mię swych gałęzi,
Próżno się wyrwać chcę: wszędy mię one gonią,
Gdziekolwiek jestem, sieć oplata mię i więzi.

Lubieżny uścisk jej, jak ramion oplecenie,
Szkarłat ma krasnych ust, łon śnieżność kielich kwiatu,
Szmer liści, jako szept namiętny i westchnienie,
Podobna jego woń do włosów aromatu.

Czuję, jak serce me odrętwia kwiat olbrzymi,
Jak mózg wysusza mój, jak siły wchłania moje,
Wyssana ze mnie krew w kielichach jego dymi,
Lecz próżno z siebie chcę gałęzi strącić zwoje...

## Pamięć, to cmentarz...

Pamięć, to cmentarz: uczucia przeżyte
Człowiek w niej składa na wieczny spoczynek,
Na grobach sieje kwiat niezapominek,
Z napisem rytym kładzie na nim płytę
I krzyże wznosi wyciosane z drzewa,
Albo je w bronzie, lub złocie odlewa.

Kiedy się zalśni gwiazdami wybita
Kopuła niebios, myśl zwiedza mogiły:
Prostuje krzyże, co się pochyliły,
Napis na głazie wykowany czyta — —
Przy jednej chwilę zatrzyma się trunie,
Od drugiej szybko w dalszą drogę sunie.

Czasem bezwiedna ją zmusi potęga,
Iż płytę z grobu, choć z wstrętem, podważy:
Spojrzy na zwłoki z grozą w bladej twarzy,
Chce odejść — stopy jej z ziemią coś sprzęga,

W grób patrzeć musi, chociaż oczy kryje,
I drży, że trup w nim ohydny odżyje...

Niekiedy stawa smutna na kurhanie,
Gdzie kwiat błękitny najbujniej się ściele,
Podźwiga płytę żądnie, a nieśmiele — —
O nie!... Ten trup już nigdy nie powstanie!...
Próżno tęsknota do życia go woła
Płomieniem serca i płomieniem czoła...

Na grobie pięknej, niegdyś żywej chwili,
Ze złożonemi na piersiach rękoma
Długo myśl stojąc cicha, nieruchoma,
W smutnej zadumie skroń ku ziemi chyli
I przez łzy patrzy na krzyż szczero-złoty,
Pełna dozgonnej, bezbrzeżnej tęsknoty...

Odrosną kwiatom zerwane kielichy;
Uwiędła trawa w czas chłodnej jesieni
Znów się o złotej wiośnie zazieleni;
Słońce co rano ma świeże uśmiechy,
Choć się wieczorem za gór grzbiety schyla:
Przeżyta szczęścia nie powraca chwila...

## Zwątpienie.

Myśli są moje dziś jako żeglarze,
Co na wód wielkim zbłąkani obszarze
Wśród chmurnej nocy, z wolą wiatrów płyną,
Ster opuściwszy, zdjąwszy z wioseł dłonie.
Próżno wzrok silić — — w mrokach nocnych tonie,
Jak kamień w morskiej nieprzejrzanej fali.
Drogę zgubili — — ku jakim zawiną
Lądom, nie dbają... a dalej i dalej
Wiatr okręt pędzi i coraz nad głębią
Ciemniejsze, grubsze obłoki się kłębią...
Zgubiłem drogę — — w te gmachy przyszłości,
Pełne wesela, ciepła i jasności,
Które się dźwignąć mają na ruinie
Starego świata, co gnije i ginie:
Chciałbym uwierzyć, lecz wierzyć nie mogę,
I coraz większa pustka jest przedemną,
Oczom mej duszy coraz bardziej ciemno — —
Dokąd iść?... Nie wiem — — zgubiłem mą drogę.

* * *

Wy, których serca i ramiona krzepi
W mozolnej walce o idej zwycięstwo,
Na które stary świat rzuca przekleństwo:
Wiara, że będzie po zwycięstwie lepiej,
Wiara, że wasza niemylną jest droga,
Że prawdziwego poznaliście Boga,
Wiara, że szczęście przyniesiecie w darze
Nowemu światu, co z ruin powstanie,
Wy, co ufacie, że dzień się ukaże
Dobra i piękna: jak ja wam tej wiary
Zazdroszczę silnej!... Dla mnie te sny złote
Mózgów płomiennych są, jako czcze mary...
I coraz większą w oczach mam ciemnotę,
I chciałbym wierzyć, lecz wierzyć nie mogę — —
Dokąd iść?... Nie wiem — — zgubiłem mą drogę.

## Hymn do miłości.

Tyś jest najwyższą z sił, wszystko ulega tobie
Miłości.
Życie jest żądzą, a tyś z żądz największą.
Prócz samej żądzy życia; duszą duszy
I sercem serca życia tyś jest
Miłości.
Jeśli najwyższem szczęściem zapomnienie,
Bezwiedza i niepamięć własnego istnienia;
Toś ty jest szczęściem szczęścia, ty co dajesz
Omdlenie duszy i omdlenie zmysłom,
I myśli kładziesz kres upajający
Miłości.
Jeśli złudzenia są jedynem dobrem:
Toś ty największem dobrem, najsilniejsze
Ze wszystkich złudzeń, ty, moc mocy,
Pierwotna, dzika, nieznająca kiełzań,

Święta potęgo
Miłości.
Jeśli pragnienia są jedyną ową
Poręczą, która chroni
Od upadnięcia w przepaść rozpaczy i wstrętu;
Jeśli są jedynym
Mostem, po którym można iść nad odmęt nudy;
Jeśli są jedynem lekarstwem, które
Broni od cierpień zwątpienia i zbrzydzeń,
Pogardy świata i od samowzgardy:
To ty, o matko pragnień, jesteś ową
Poręczą, mostem i lekarstwem, jesteś
Zbawczynią ludzi,
Miłości.
Czas idzie i zmieniają się wiary,
Bóstwa w proch upadają, jedne po drugich,
Dziś czczone, jutro deptane,
Przechodzą przed oczyma ludzkości,
By więcej nie powrócić.
Ty trwasz, wieczysta, jak strach, głód i zawiść,
Pierwotna, tak jak one,
Jak one tryumfalna,
Nad wszystko wyniesiona, niepokonana
Niczem i nigdy, tak, jak one,
Pierwotna, dzika potęgo
Miłości.

Wdzięku, piękności natury,
Kędyś jest wobec wdzięku i piękna miłości?
Jesteś, jak rama
Do obrazu, jak otęcz promieni
Skrzącemu kręgowi słońca.
Kędyś jest, liściu róży,
Wobec ust ukochanej?
Kędyś szafirze niebios, morza błękicie,
Wobec ócz ukochanej?
Kędyś szumie jaworów i śpiewie ptaków
W wiosenne rano,
Wobec głosu ukochanej?
Kędyś ciszo grot pośród paproci,
Pod gęstemi zaplotami bluszczów,
Wobec milczenia ukochanej?
Kędyś jest śniegu, różowiony blado
Od blasku słońca,
Wobec koloru ciała ukochanej?
Kędyście linie cudowne
Gór i skał, kędy łuk tęczy świetlisty,
Kędy przepysznych wodospadów wstęgi,
Smukłe narcyzy, palmy wybujałe,
Kędy obłoki lotne i powiewne,
Wobec kształtów ciała ukochanej?
Kędyś mchu miękki, liściu aksamitny,
Wobec jej piersi dotknięcia i dłoni?
Kędyś marmurze gładki, grzany słońcem,

Wobec jej białych bioder, spływających
Cudowną linią
W odurzający wzrok, dech wstrzymujący
Kształt, który rękę przykuwa do siebie?
Kędyś jest czarze nocy księżycowej,
Czarze poranku, kiedy słońce wschodzi
Z za gór dalekich;
Uroku jezior, co się nagle jawią
Pośród skał, senne,
I tej zieleni złocistej, ze szczytów
Widzianej w dali,
Wobec czaru ukochanej?
Kędyś jest melancholio wieczorów jesiennych
Wobec jej smutku?
Kędyś wesele letniego południa
Przy jej radości?
Kędy o sławie sny, sny o potędze,
Zwycięstwach dumy, odpłaceniu krzywdy,
O nieznoszeniu niesprawiedliwości,
Wobec snów o ukochanej?
Kędyś pragnienie posiadania złota
Przy posiadania jej ciała pragnieniu?
Kędyś jest żądzo poznania wszystkiego,
Co jest poznanem, albo niem być może,
Wobec pragnienia poznania wskróś duszy
Ukochanej kobiety?

Tak, tyś najwyższą z sił, tyś życiem życia,
Miłości.
Najsłodszą rozkosz i najsroższą boleść
Ty sprawiasz; tyś jest tak, jak śmierć, królową
Wszechistnień ziemskich, pierwotna potęgo
Miłości.

———

## Marzenie.

Zdaje mi się, żem gdzieś dawno
Przed tysiącem wieków może,
Mieszkał w kraju jasnym, ciepłym,
Otoczonym w krąg przez morze.

Lekkim wiatrem wolno, sennie
Kołysane długie liście
Z drzew zwisały tam wysokich,
W słońcu mieniąc się srebrzyście.

Kędy spojrzeć, morze kwiatów
Nieprzejrzane, nieskończone,
Morze woni i kolorów,
W którąkolwiek spojrzeć stronę.

Tyle woni, że obłoki
Odurzone od niej płyną
Ponad ziemią wolno, sennie,
Jasnych, ciepłych sfer głębiną.

Tyle woni, że gdy fala
O brzeg bije dźwięczna, cicha,
To się cofa wolno, sennie,
Zda się, że woń w siebie wdycha.

Gdzieś daleko widać góry,
Błękitnieją w sinej dali
Swe zielono-złote stopy
W ciemno-modrej kąpiąc fali.

W szafirowem, lśniącem niebie
Słońce świeci się promiennie,
I po morzu ciemno-modrem
Blask rozlewa wolno, sennie.

Cicho w okrąg — — cichy spokój
Śle pogodny uśmiech ziemi,
Morzu, niebu... My oboje
W owej ciszy leżym niemi.

Najpiękniejszej z wszystkich kobiet
Do mej piersi tuląc łono,
Wolno, sennie płynę wzrokiem
W przestrzeń morza nieskończoną...

## Duch melodyi.

Księżycowy krąg lśni — —
Mknie wśród nocnej mgły
Duch melodyi w przestworach:
Wiatru niesie go wiew
Ponad korony drzew,
Po oceanach i górach.

Leci dźwięczny, jak dzwon,
Rozwiewny, jak z łon
Morskich opar wytchnięty;
Skrzydłami muska strop,
Dotknięciem lekkich stóp
Kołysze rosy dyamenty.

Szept, gdy kwiatów liść drży,
Szmer skrzydełek ćmy,
Szelest wody, szum boru,
Dźwięki powietrznych cisz:

Wiąże w akord i wzwyż
Do sfer unosi je chóru.

Zasłuchana myśl ma
Za tą pieśnią gna,
W przestrzenną wpływa ciszę,
Straciwszy z oczu świat
W pustce bez kresu, lat,
W falisty rytm się kołysze.

Cicho... sen boski tu...
Nirwana... cud snu...
Wszystko niknie w mgle szarej,
Usypia wszelki ruch,
Tylko melodyi duch,
Dźwięcząc przelata bezmiary.

## Narodziny Afrodyty.

Złocisty-to był dzień. Błękitne zadumanie
Objęło cały świat. Na modrym oceanie
Słoneczny zasnął blask. Na ziemi i na niebie
Cisza zdawała się wsłuchiwać sama w siebie.
Omdlewał w okrąg świat od światła i gorąca,
Różany płonął kwiat, srebniała lilia drżąca,
Nad cichą, modrą toń nieskończonego morza
Płynęła kwiatów woń, jak lutni dźwięk, w prze-
[stworza.

Wtem — jakby zwiewny rój motyli skrzydłem
[drżącem
Potrącił śpiący blask i śpiącą głąb pod słońcem:
Zadrgała senność sfer i kwiaty zaszeptały,
Niepokój jakiś świat ogarnął nagle cały,
Oczekiwanie — — cud jakiś się dziwny ziści, — —
Z błękitno-złotych wód, z zielono-złotych liści
Dźwięczący wybiegł szmer, lękliwy i radosny,
Zadrgała senność sfer, jak w narodziny wiosny.

I ze srebrzystych pian, co w słońcu nieruchomie
W tęczach świetlanych skier leżą na wód ogromie,
Wśród blasku, ciepła, mgieł złocistych, z wód kry-
[ształu,
Nagi niewieści kształt wynurza się pomału — —
Zdumienie zdjęło świat: przejrzyste milkną sfery,
Drżeć przestał róży kwiat, liliowe ścichły szmery,
Jakby zaklęta, woń stanęła skrysztalona
I w zadziwieniu w toń spojrzała nieb opona.

A ze srebrzystych pian Afrodis wyszła biała
I naprzód słońcu swój promienny uśmiech słała,
Potem przez modrą głąb powoli szła ku ziemi,
Znacząc swej drogi ślad kroplami świetlistemi,
I boski uśmiech śle niebiosom, lądom, wodzie,
A świat dziwował się przecudnej jej urodzie,
Blask ją osuszać biegł, woń obcierała z rosy,
U nóg jej śnieżnych legł ocean modrowłosy.

A ona w słońcu swe suszyła ciało białe,
Zefiry pieszczą ją z rozkoszy oszalałe,
Ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
Całują piersi jej i szyję i ramiona,
Spijają perły pian z jej zagięć i lubieżne,
W lotny okrążą tan jej uda smukłe, śnieżne,
Zwolna się suną wzdłuż jej pełnych biódr, a potem
Ku ustom z wonią róż wzlatują nagłym wzlotem.

Muskają włosy jej złociste, miękkie, śliczne,
Złocisty szafir ócz owieją balsamiczne,
I omdlewając już do stóp jej kornie padną...
A ona rękę swą podniosła światowładną,
I naga stała tam, a dziwna jej potęga,
Aż do Hadesu bram nieprzekroczonych sięga,
I zadrżał wszechświat w krąg, bo z morskich głę-
[bokości,
Sprawczyni wyszła mąk najsroższych dla ludzkości.

## Narodziny wiosny.

---

Gdy pierwszy nastał dzień wschodzącej wiosny młodej,
Najpierwszy zbudził się śpiący na dnie bóg wody,
I powstał z chłodnych leż i głową kędzierzawą
Uderzył w lód, co legł na rzece lśniącą ławą,
I rozpękł z hukiem lód i z prądem kry się suną,
A w słońcu suszył bóg swą głowę krętoruną. —
A gdy goręcej blask słoneczny padł na gaje,
Bogini wonnych ziół z pościeli miękkiej wstaje,
I rozpuściła włos, co aż do ziemi spływa,
I naga polem szła bogini złotogrzywa,
A kędy pola tknie jej włos, tam wnet się trawy
Zielona puści ruń i szczaw zielono-rdzawy. —
Owiana ciepłem zórz, wiosennych tchem powiewów,
Pieszczona wonią sfer, z różanych wyszła krzewów
I uśmiechnęła się do złocistego słońca
Bogini, córa nieb, kwiatami władająca.
W złocisty szafir ócz objęła świat miłośnie,
A kędy spojrzy, kwiat prześliczny wnet wyrośnie

I wkoło lilij, róż, narcyzów kwitnie mnóstwo,
A wśród nich słońcu śle uśmiechy jasne bóstwo. —
I powstał lasów bóg, strząsł zwiędłe liście z głowy,
I z świeżych sobie wnet splótł liści wian dębowy,
I rozkołysał drzew gałęzie i konary,
I słuchał — — płynął hymn, hymn uroczysty, stary,
I długo słuchał bóg w powadze i zadumie
Odwiecznych baśni w tym rozkołysanych szumie. —
Brodatych Faunów huf i śnieżne nimfy społem
Za ręce wziąwszy się, pląsają nadzy kołem,
Na łące, kędy blask od słońca złoty pada — —
Przy cudnej wiatru grze tam pląsa bóstw gromada
Świat pachnie, lśni się w krąg i jakaś moc miłosna,
Lubieżnie pieści go... Rodząca wstała wiosna.

## L e d a.

Czy znacie Ledę Michała Anioła
W skrzydłach łabędzia z rozkoszy mdlejącą,
Nagą, z dyademem u boskiego czoła?

Świat cały piersią oddycha gorącą,
Cicho — — i tylko dalekiego morza
Słychać gdzieś falę o falę dzwoniącą.

Kaskady blasku rzuca słońca zorza,
Jak opar z wody, woń wznosi się z kwiatów
I mgłą rozwiewną płynie na przestworza.

A lśniąc od słońca płomiennych szkarłatów,
W przecudne linie gnie się nagie ciało,
Na ziemi leżąc pełnej aromatów.

I co się komu kiedy marzyć śmiało
W snach najgorętszych o kobiecem pięknie:
Tu ma wcielone ręką mistrza śmiałą.

A każdy członek, zda się, w oczach mięknie
Od palącego rozkoszy nadmiaru
I w cichym ruchu rzeźbi się przepięknie.

Nagości owej promiennego czaru
W żadnem się słowie wypowiedzieć nieda;
Myśli się mroczą od zmysłów pożaru

I od rozkoszy, jaką czuje Leda.

## O n a.

Księżyc wśród białych chmurek, któremi wiatr miota
Światła zmienne, płochliwe wywołując tony;
Oceanu nęcąca, mistyczna ciemnota;
Zorza, co wzrok olśniewa o południu złota;
Nieokreślny blask gwiazdy w wodzie odstrzelonej;

Ranek promienny, ciepły, pogodny, radosny,
Rozkosz ziemi, powietrza, wody i błękitu,
Pełen woni róż, lilij, heliotropu, sosny,
Upajający ranek pierwszego dnia wiosny,
Budzący bezmiar marzeń, tęsknot i zachwytu;

Limba, co nad jeziorem chyli się o zmroku
I spogląda w głąb dumna, cicha, zamyślona,
Wsłuchana w melodyjny, senny szum potoku
I od fali ku gwiazdom mglejącym na stoku
Nieskończonych błękitów patrząca: to Ona.

## Do Nieznajomej.

Nie wiem, kto jesteś — — ledwo kilka razy
Widziałem ciebie — — za każdem widzeniem
Pierś ma się dziwnem podnosi wzruszeniem,
Serce szalonem poczyna bić tętnem,
A usta moje palą te wyrazy,
Którebym tylko w omdleniu namiętnem,
Patrząc ci w oczy, wymówił westchnieniem.

Rozkosz i boleść czuję, gdy cię widzę,
I zdaje mi się, że cię kochać muszę,
I zdaje mi się, że cię nienawidzę — —
Przekląłbym ciebie i oddał ci duszę.

Na myśl rozkoszy, jaką twój dać może
Uścisk dziewiczy, oszaleć się boję — —
Szukając ciebie, spotkania się trwożę — —
Trucizną są mi cudne oczy twoje,
Oczy błękitne i senne, jak morze.

Na samą myśl tę, gdy cię półomdlałą
Widzę w snach moich z lawy i płomienia,
Gdy dłutem z ognia rzeźbię twoje ciało,
Każdy kształt ciała, co gdy opierścieni,
Zmysły w huragan i krew w burzę zmieni;
Na samą myśl tę blizkim jest omdlenia.

Tonąc w srebrzystym ócz twoich błękicie,
Pod stopy twoje rzuciłbym me życie,
A razem żądzę uczuwam szaloną
Zabić cię jednym oczu moich błyskiem,
Bo wolałbym cię śmierci poślubioną
Widzieć, niż z innym splecioną uściskiem...

## Zacisza.

Są te zacisza, gdzie dusza omdlewa
W jakiemś przedziwnie słodkiem upojeniu;
Gdzie plamy słońca kładą się na cieniu,
Jak złote wyspy na mórz ciemnej toni,
Gdzie czasem cicho przelatuje mewa,
Lub słowik z krzewów różanych zadzwoni.

Są te zacisza, gdzie się dwa oddechy,
Jak dwa gorące promienie słoneczne,
Łączą ze sobą, gdzie się w gardła mleczne
Wpija pragnące usta, rozpalone,
Gdzie roztapiają się w niemoc uśmiechy,
I z biódr i piersi zrywa się zasłonę.

Są pocałunki, które serca drgnienia
Tamują w piersi odetchnąć niezdolnej,
Rozkosz rozkoszy odczuwania wspólnej,

Najwyższa z wszystkich, co z śmiercią graniczy;
Są nieskończone zmysłów upojenia,
Bezdnie pożądań, bezkresy słodyczy,

Są półdziecinnej natchnienia pieszczoty,
Drgnienia w powietrzu ciche i płochliwe,
Jakby z za modro-srebrnych mgieł wstydliwe,
Półwidne lice jawiło się Psychy,
Z przejrzystym różem tłumionej tęsknoty,
Z zdjętemi z jasnych błękitów uśmiechy.

Są wyszukanej rozkoszy porywy,
Wizye gwałcące, naturę, męczeństwa
Przewzbranych pragnień, niesytu szaleństwa,
Wśród szału żądzy okrucieństw popędy,
Jakiejś pieszczoty nieludzkiej, straszliwej
Pożądań wściekłe, spienione obłędy.

Są te zacisza, gdzie słońca promienie
Trącają kwiatów tęczowe kielichy,
A z kwiatów w przestwór zamyślony, cichy,
Woń się unosi falującym wzlotem,
Niosąca, zda się, listeczków dzwonienie,
Trąconych blasku słonecznego złotem.

Są te zacisza, skąd w modre błękity
Źrenic omdlałych spojrzenia się wznoszą,

Gdzie się upaja dosytu rozkoszą,
Wspomnień zachwytem, wyczerpań niemocą — —
Gdzie całą słodycz wyssawszy z kobiety,
Przed śmierci nie drży się wstającą nocą.

## Wspomnienie.

Zamykam czasem oczy, w wyobraźnię mienię
Całą moc mojej duszy i złudzony, chwilę
Słyszę jej ciche słowa, czuję piersi drżenie,
I choć wiem, że sen spłoszę przez powiek wzniesienie,
Wznoszę je — i napróżno już potem je chylę.

Tak wędrowiec, gdy okręt go z wichrem w zawody
Niesie precz przez ocean bezkreśnie szeroki,
Gdy oczy zamknie, widzi ojczyste zagrody
I choć wie, że sen spłoszy, gdy spojrzy na wody,
Patrzy — — i w żal się grąży, jak bezdeń, głęboki.

## Byłbym cię oddał...

Byłbym cię oddał pókim cię miał,
Za dziką tę jedynie
Swobodę, z jaką wicher gna
Przez moich skał pustynię.

Słodkich twych objęć wyrzekłem się
Dla mary czczej i próżnej — —
Dziś może bym za ciebie dał
Ziemię, lecz żal zapóźny...

C. B. A.

C. A.

A. A. A. A. A. A.

P. P.

## II.

Więcej, niźli natury pierwotne piękności,
Więcej, niżeli uśmiech kobiety kochanej,
Więcej, niż światło natchnień, marzeń oceany:
Ty mnie nęcisz ku sobie, o nieskończoności.

Wtapiam się w ciebie myślą, czuję cię w senności
Sfer przestrzennych, w dróg mlecznych rozwiei świe-
[tlanej,
Czuję cię w mojem własnem pragnieniu nirwany,
I wciąż odradzających się żądzach ludzkości.

Zdą mi się, żem spokojnym, jesiennym wieczorem
Stanął kędyś nad cichem, niezmiernem jeziorem,
Kiedy mgły na las schodzą i na gór głąb ciemną —

Patrzę — — blady księżyca krąg błyszczy podemną,
A otchłań z taką dziwną potęgą mię nęci,
Że pochylam się zwolna, tracąc świat z pamięci.

## III.

Nieraz w mych Tatr rodzinnych przepastne głębiny
Nurzałem się, jak delfin w oceanu tonie,
Szedłem ponad urwiska, z których trupie dłonie
Śmierć wyciąga, a kędy strach zepchnąć chce siny.

Szedłem, aby na puste spoglądać doliny,
Na złomy skał, ginące w obłoków oponie,
Śnieg, co tam w zimnym blasku słońca martwo
[płonie,
Głuche stawy i senne, dalekie równiny.

Jak lunatyk, po dachu krawędzi, bez trwogi,
Jakby mię prowadziła dłoń magnetyzera,
Szedłem przez najurwistsze, najszaleńsze drogi

Patrzeć na martwość, co się w górach rozpościera — —
W owej pustej, ponurej, olbrzymiej martwości
Szedłem cię głębiej, silniej czuć, nieskończoności.

## Albatros.

Cisza na oceanie, nie drgnie jedna fala,
Ciemno-modra płaszczyzna nieruchomo leży;
Na fali, skąd już nie znać sinych wstąg wybrzeży,
Siadł albatros od lądów i ludnych wysp zdala.

Marzy i żaden gwar mu ciszy nie zamąca,
Marzy — — ziemia daleko i daleko życie...
Utonąwszy oczyma w świetlistym błękicie,
Na ciemno-modrej wodzie bieli się wśród słońca.

Zadumane, niezmierne dokoła milczenie,
W bezbrzeż sfer zapatrzony spokój, sen przedwieczny,
Zda się, w kryształ promienny ściął się krąg słoneczny
I wielkie skrysztaliło się nieba sklepienie.

Ptak śni — i zdaje mu się, że Bóg ziemi jeszcze
Nie stworzył, tylko woda nieruchoma, senna,
Leży pod sennem niebem, bezkreśna, bezdenna...
Śni — — sen mu przerwą wichry, pioruny i deszcze.

Wówczas na wielkich skrzydłach z szumem się pod-
[niesie,
Wrzący ocean muśnie po spienionej grzywie,
Rzuci się w pierś orkanom huczącym straszliwie
I ponad burzą w cichym zawiśnie bezkresie.

A gdy burza ucichnie, gdzieś na skale dzikiej
Usiądzie suszyć pióra od deszczu wilgotne,
I patrząc w słońce, jak on, dumne i samotne,
Słuchać w skałę bijących fal sennej muzyki.

## Na morzu polarnem.

Śnieg rozciągnięty w przestrzeń, pustą nieskończoną
Skrzy w słońcu i tysiącznym odblaskiem się mieni,
Jakby rozprysł się po nim pył z drogich kamieni,
W którym rozżarzonego skry metalu płoną.

Biały niedźwiedź powolnym, ciężkim idzie krokiem
Błyszcząc jasno; cień za nim ciemny, długi sunie —
Idzie ku słońca świetnie odstrzelonej łunie
Od gór lodowych, widnych hen pod nieba stokiem.

Tu bliżej, czyliż jodły wzrosły w śnieżnej bieli,
A miast gałęzi sople zwisły im błyszczące
Z konarów?... U stóp jodeł ludzie, patrzą w słońce,
Ale tak nieruchomi są, jakby posnęli...

To nie jodły, to maszty obmarzłe korwety,
Co pruć nie mogła ściętej w lód dokoła fali;
Ci ludzie na pokładzie nie śpią, lecz skostniali
Padli tam, zda się skórą pokryte szkielety.

Pootulane w futrach osrebrzonych szronem
Sztywne posągi, twardem dłutem śmierci kute — —
Snać opuścili mroźną, pochlebną kajutę,
By patrzeć, czy lód taje pod niebem zognionem?

Cisza i spokój śmierci... Od wschodu z ukosa
Ogromne słońce, świecąc straszliwie jaskrawo,
Na śniegi i na okręt bucha blasków lawą
I płomienistą łunę wlecze przez niebiosa.

— ———

## Filozofia miłości.
(Przekład z Shelley'a).

Do rzek strumienie z krynic się sączą,
Do oceanu wpływają rzeki;
Wiatry błękitu razem się łączą
W słodkiem wzruszeniu na wieki;
Nic samotnego niema wśród świata:
Z boskiego prawa wszystko ku sobie
Dąży, w byt jeden wspólny się splata — —
Czemuż dalekim ja tobie?

Patrz: strop całują góry szczytami,
Fala się zlewa z falą swawolną,
Ni jednej siostrze między kwiatami
Gardzić swym bratem nie wolno.
I ziemię pieści świt słońca złoty,
I księżycowy blask igra z morzem — —
Cóż warte wszystkie owe pieszczoty,
Gdy my się pieścić nie możem?

## Z Tatr.

### WIDOK ZE ŚWINICY DO DOLINY WIERCHCICHIEJ.

Taki tam spokój... Na gór zbocza
Światła się zlewa mgła przeźrocza,
Nad senną zieleń gór.

Szumiący zdala wśród kamieni,
W słońcu się potok skrzy i mieni
W srebrno-tęczowy sznur.

Ciemno-zielony w mgle złocistej
Wśród ciszy drzemie uroczystej
Głuchy smrekowy las.

Na jasnych, bujnych traw pościeli,
Pod słońce się gdzieniegdzie bieli
W zieleni martwy głaz.

O ścianie nagiej, szarej, stromej,
Spiętrzone wkoło skał rozłomy
W świetlnych zasnęły mgłach.

Ponad doliną się rozwiesza
Srebrzysto-turkusowa cisza
Nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu w dół: podemną
Przepaść rozwarła paszczę ciemną —
Patrzę w dolinę w dal:

I jakaś dziwna mię pochwyca
Bez brzegu i bez dna tęsknica,
Niewysłowiony żal...

## W BIAŁEM.

Po cichych smrekach o ciemnej zieleni
Kładło się słońce złotemi plamami;
Pogodny błękit wisiał ponad nami
Pełen przymglonych słonecznych odcieni.

W głębi wąwozu po zrębach kamieni
Spieniony potok huczał kaskadami;
Czasem ktoś krzyknął — echo głosu mami,
Jakby z niezmiernych leciało przestrzeni.

Czasem błądzącej trzody po uboczy
Spiżowe dzwonki dźwięczały w przeźroczy;
Czasem wiatr drzewa szumiące kołysze;

A czasem było tak cicho i błogo,
Jak gdyby szczęście idąc pustą drogą,
Tu, w to bezludne wstąpiło zacisze.

## W LESIE.

Wolno i sennie chodzą
Po jasnem tle błękitu
Złocisto-białe chmurki
Z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy
Pod słońca blask z ukosa,
Jaskółka śmigła, czarna,
Sunąca przez niebiosa.

Po łące cichej, jasnej,
W srebrne objęte ramy
Przez opalowy strumień,
Złote się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska
Na ciemnej drzew zieleni,
Lub przez konary rzuca
Ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie,
Po łąk zielonym łanie,
Przejrzyste, zwiewne idzie
Błękitne zadumanie.

## O ZMROKU.

O cichym zmroku u wejścia w dolinę
Leżę i patrzę na błękitno-sine,
Czyste i senne, w bezmiar rozesłane
Przestrzenie niebios... Gdzieś na skalną ścianę
Padł spływający zwolna sinem niebem
Blask i skalistym w dół sączył się żlebem,
A kędyś w pustce powietrznej, daleko,
Beskidem taśmy słoneczne się wleką,
Blado-różane, przez łąki i lasy,
I liliowo-modre wiszą pasy,
Owstężające błękitne zamrocza.
Był wiatr... Las czarny, co porósł gór zbocza,
Nad głową moją szumiał, a gdzieś nizko
Szumiała woda — — całe uroczysko
Przejął czar dziwny... Ciche mgły wieczoru
Schodziły z nieba głucho i powoli
I ogarniały całą głąb przestworu
I Beskid, w bladej światła aureoli.

Dziwna, cudowna tajemniczość nocy
Już twarz swą, zda się, chyliła ku ziemi,
Ponad smrekami sennie szumiącemi
I blaskiem, który płynął ku północy.
I coraz ciszej było, tajemniczej!
Pośród tej skalnej, ciemniejącej dziczy,
A dusza moja, w bezsłownej zadumie,
Cała się w leśnym pogrążała szumie,
I w mglisty wąwóz płynęła pod skały
I przez przełęcze, przez mroczne doliny,
Szła na dalekie w księżycu równiny
I dalej, w bezkres... A mroki gęstniały
I coraz ciszej, coraz było ciemniej,
Coraz uroczej i coraz tajemniej.

## PRZY MORSKIEM OKU.

Ty martwa wodo wśród nocnej ciemnoty!
Jak ja ci twojej zazdroszczę martwoty!
Gdyby te wszystkie góry do twej fali
Razem runęły: jeszcze ciężar ich
Byłby mniej straszny, niż ten, co się wali
Na pierś człowieczą ciężar przeczuć złych.

Huczą nad tobą burzė, martwa wodo,
Płomienną strzałą gromy toń twą bodą,
Ale najdziksza górska nawałnica
Tak nie zatarga twoich głuchych fal,
Jak duszę targa daremna tęsknica
I żal, bezbrzeżny, beznadziejny żal.

Ku głębiom twoim, martwa wodo, ścieka,
Wiecznie szumiąca z urwisk stromych rzeka;

Nigdy się szum ten posępny nie zgłuszy,
Nigdy, aż zwali się granitu zrąb — —
Tak wiecznie szumi smutek w mojej duszy
Pełnemi płynąc nurtami w jej głąb.

## MELODYA MGIEŁ NOCNYCH.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym).

---

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przeźrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze,
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór
[kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy błę-
[kitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
Puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przeźroczą,
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą,

Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci,
Z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

## NA »ŻELAZNEJ DRODZE« POD REGLAMI.

---

Zwolna zachodzi słońce.
Rdzawią się gór zielone kopy i ubocze,
Fioletu i ponsu plamy gorejące,
Na modro-siny granit kładą się powoli;
Różowią się niebiosów błękitne roztocze,
Złoto, szkarłat, fiolet, bronz, razem zmięszane,
Na biało-żółtych chmurek rozlały się pianę,
Z którą wietrzyk swawoli,
Sunąc ją przez powietrznych fal bezdnie przeźrocze.
Jakby przez mgłę przesiane,
Pada światło słoneczne na cichą polanę,
Gdzie wśród jasnej zieleni,
Tu owdzie koniczyny główka się czerwieni,
Błękitnieje goryczka, a brzegiem potoku
Niezapominek modra koronka się mieni.
Niżej, na góry stoku,

Za łanami zbóż sennych, o blasku złocistym,
Czerni się las smrekowy w otęczeniu mglistem.
Cisza. Patrzę przed siebie,
Źrenice moje błądzą po ziemi, po niebie,
Idą przez ziemię cichą, szeroką, świetlaną,
Płyną po nieba głuchem, niezmiernem przestworzu,
Leniwo, wolno, jak łódź po spokojnem morzu,
Gdy żagle pozwijano.
I ogarnia mię jakieś senne zamyślenie,
Jakiś smutek, żal dziwny — i takie pragnienie
Czegoś nieokreślnego duszę mą pochwyca:
Że więcej bym owinąć nie pragnął w ramiona
Tej, która mi na wieczność rzuciła wspomnienie...
I jakaś nieskończona,
Nieskończona tęsknica
Oblewa mię bezbrzeżnym marzeń oceanem,
Na żądań zakrzewione wiedzie mię bezdroże...
Tęsknię za czemś nieznanem,
Mistycznem i kryjomem,
Za czemś, co mogło istnieć przed wieków ogromem,
Albo stanie się kiedyś po wieków powodzi,
Lub dziś koło mnie może,
Nieznane mi, przechodzi...
A wieki zmarłe i te, co przyjdą, w ogniwa
Nigdzie nie przerwanego wszechbytu łańcucha,
Wplatają, jako jedno z ogniw, mego ducha,
I duch mój się rozszerza, rozdala, rozpływa,

Wciela się w czas i w przestrzeń i wszechkształty —
[ginie,
Nicestwieje wessany w bezdenie wszechbytu,
Co jak olbrzymi polip, osnuł go milionem
Ramion, splotów i więzów — nurzy się w głębinie,
Przepada w nieskończonem...
A z skał sinego szczytu
Schodząc, mrok się rozściela cichy po dolinie
I wielka melancholia nocy zwolna spływa,
Zdobiąc sklep nieba pierwszą senną, bladą gwiazdą,
A myśl moja zmęczona do lotu się zrywa
A na jej łono leci, jak gołąb na gniazdo.

## Morskie Oko.

Pogodne, ciche, jak duch, co tonąc w marzeniu
Leci w sfery spokojne, burzliwe ominie:
Lśni jezioro zamknięte w granitów kotlinie,
Jak błyszczący dyament w stalowym pierścieniu.

Słońce nad obłokami po nieba sklepieniu,
Jak orzeł nad żórawi lotnem stadem płynie;
Granity się malują w przejrzystej głębinie,
Niby obraz przeszłości odbity w wspomnieniu.

Widziałem to jezioro, gdy po nieba sklepie
Wicher gnał czarne chmury, wyjąc w skalnej głuszy,
Podobny lwu, co ściga bawoły po stepie:

Skrami z pod kopyt błyski z chmur wylatywały,
Grzmot zdał się rykiem. Woda, bijąca o skały,
Była, jak duch, co więzy targa, a nie kruszy.

## L i m b a.

Samotna limba szumi
Na zboczu stromem,
U stóp jej czarna przepaść
Zasłana złomem.

Wkoło się piętrzy granit
Zimny, ponury,
Ponad nią wicher ciemne
Przegania chmury.

W krąg otoczona taką
Pustką okrutną,
Samotna limba szumi
Bezdennie smutno.

## B u r z a.

Nad Gerlachem zawisnął kłąb czarny, olbrzymi
Zawichrzonych obłoków, raz wraz ogniem pryska,
Grzmotu huk się roztrąca o skalne zamczyska,
Waląc się złom odbity skry krzesze i dymi.

Wzdymaj się nawałnico!... Jak na morzu wzdętem
Łódź wiruje: tak moja myśl wiruje w tobie,
Leci z twemi ptakami o płomiennym dzióbie,
Upaja się do szału ogniem i zamętem.

Wzdymaj się nawałnico!... Druzgocz twarde złomy
Wywracaj lasy, jezior pruj głębokie tonie,
Pędź zniszczenia i śmierci straszliwy Demonie,
Pędź duchu wśród błyskawic jaskrawych widomy!

Wzdymaj się nawałnico!... Łeb swój pochyl turzy,
Uderz w ziemię, aż jęknie; ślepiami krwawemi
Nieć pożary, aż ogień buchnie po wszechziemi,
Aż spopieleje cała!... Pędź Demonie burzy!

Przegnała nawałnica... Wzrok rzuciłem na dół,
Myśląc, że świat zobaczę odmłodzony, świeży — —
Kilka drzew zdruzgotanych w mętnej wodzie leży,
Lecz nie zmienił się w niczem smutny ziemski padół.

## Mgły nocne.

W wąwóz, między dwie skały rozdarte, miesiąca
Wbiegł krąg i zawisł w ciemnych niebiosach pro-
[mienny,
I rzucił w dół swe światło: na załom kamienny
Padło, gdzie się przewala kaskada hucząca.

Światło srebrzystą łuskę rzuca po strumieniu,
Na cały wąwóz pruszy z księżyca pył szklany,
Srebrzą się sine, w niebo strzelające ściany,
I czarne, głuche morza lasów w oddaleniu.

Na zboczach, wśród omglonych limbowych gałęzi
Świecą gwiazdy złociste — zda się, że z niebiosów
Spadły na twarde czoła kamiennych kolosów
I odbite zawisły w iglastej uwięzi.

Cisza — — tylko dźwięk szumu słychać w skalnej
[dziczy,
Jakby skały i wody i limby i jodły,

Rozkołysaną, senną mowę z sobą wiodły
O rzeczy pełnej grozy, wielkiej, tajemniczej.

Mgły snują się w powietrzu, drżące i niepewne,
Zda się, jakby dzwonienie szumu kołysały
I niosły je od jodeł i limb między skały — —
Płyną — — znikły w rozłomach, lotne i rozwiewne.

Znów wylatują z za gór i na kosodrzewie
Oparły lekkie stopy, rozsnuły warkocze,
Rozwiały skrzydeł błony szerokie, przeźrocze,
I ważą się przy wiatru rytmicznym powiewie.

Już płyną w dół na lasy — na wierzchołków fali
Rozesłały się czarnej — na ich ciała mgliste
Księżyc rzucił blask świetlny, i całe srebrzyste
Leżą, jak welon z płynnych dziergany opali.

Wtem podniosły się w górę — lecą — wkoło [szczytów
Wiją wieńce, pląsają — złączyły się społem —
Wiatr podbił je — zawisły nad kamiennem czołem
I uleciały w przestrzeń gwiaździstych błękitów.

## Pozdrowienie.

Z ponad wiślanych leci fal
Wiosenny, chłodny wiatr,
Leci ku mojej ziemi w dal,
Ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! nad wzgórza, pola nieś
Me pozdrowienie ztąd,
Rodzinną moją pozdrów wieś
I dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków las,
W ogródkach każdy kwiat,
I wszystkie łąki pozdrów wraz
I ludzi z wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróć,
Ku stawom, halom gnaj,
I pozdrów mi po tysiąckroć
Mój cały górski kraj.

## List Hanusi.

(Dyalektem podhalańskim.

Kochany Jerzy mój! Pisę tu ztela [1])
Ten list do ciebie, a pisęcy, płacę.
Świat mię caluśki nic nie uwesela,
Kie w lesie pasę, wnet krowy potracę,
Bo syćko myślę, kielo nas ozdziela
Kraju i cy się tyz jesce zobacę?
Kiebyś ty wiedział, jakoś mię zasmucił,
Mój złociusieńki, tobyś się haw wrócił.

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
Łzy ino syćko z ocu mi się lejom,
Nik tego niewi, za kim ja banuję,
Ale się ludzie nascy se mnie śmiejom.
Zal mię za tobom wciągle w serce kłuje
I nie wiem, ka się me ocy podziejom
Od tych łez. Widzi się, co mnie powiezom
Wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

---

[1]) stąd (tu ztela).

I juzbyk chyba ja sama wolała
Lezeć hań, niźli tak płakać daremno,
A kie spać legnę, to poduska cała
Mokra, kie wspomnę, jakeś ty spał ze mną.
Chwilo jedyna, kaześ się podziała,
Kieś ty przychodził ku mnie w nockę ciemną
I kieś mię objon tak serdecnie w rence,
Jakbyś przy miejskicj lezał ka panience.

Ja znam, ze biedna ja prosta dziéwcyna
Góralska, o mój ty najsłodsy, złoty,
To nie dla tobie, dla pańskiego syna,
Ale juz ledwie wytrwam od tęsknoty.
Dusa cię ino syćko przypomina,
Nijakiej nimam do jadła ochoty,
Ani do tańca. Chłopcyska się śmiejom,
A moje siwe ocy wciąz łzy lejom.

Kie na odwiecerz [1]) przed chałupom stanę,
Pojźrę, jak słonko za wirchy się kryje,
Wspomnę, jak my się pod tę samą ścianę
Kryli: to zal mię mało nie zabije,
A serce moje, jakoby pijane,
Tłuce się w piersiach. Tęca wodę pije

[1]) o zmroku — (na odwiecerz).

Z rzeki, ale tych łez wypić nie musi [1])
Co ocy twojej wypłacom Hanusi.

Jasiek tu chciał mnie brać, a mama z tatą
Straśnie go radzi widzom, ale ja nie.
Powiedziałak mu, że się przódziej lato
Zimom, a zima przódziej łatem stanie,
Niźli ja bedem jego. Więc się na to
Ozgniwał i rzekł, co on mię dostanie,
Chebaby w niebie miesioncek zaginion,
Abo Dunajec w górę się przewinion.

Miałeś tu do nas przyjechać na Gody, [2])
Takek cię ino syćko wyglondała,
A tak mi było, jak rybce do wody,
Jazek się sama do się głośno śmiała.
Ale juz wsendy potajały lody
I śnig juz w turniak wyginion bez mała,
A tobie nimas jednako nikany, [3])
Mój złociusieńki i umiłowany.

Aniś nie pisał do mnie dawno. Moze
Jaka cię chorość nasła, mój jedyny,

---

1) nie potrafi — (nie musi).
2) Boże Narodzenie — (Gody).
3) nigdzie — (nikany).

Albo co inse, od cego chroń Boze.
Nie zabacujze tak swojej dziewcyny.
U nas som zdrowi w chałupie, niemoze
Ino Jagnieska Bartkowej Maryny.
Niech cię Bóg strzeze i Najświętsa Panna
Ludźmirska. Twoja tu ostaję — Anna«.

## Pieśń o Jaśku zbójniku.

Z orawskiego zamku chłopcy pozierają
Czy się popod Tatry buczki rozwijają?

Idzie bystra woda hań ku Kościelisku,
Chłopcy marnie giną w orawskiem zamczysku.

Czyjże to hań chłopiec stoi u futryny?
Dy to Jasiek z Polan, Józkowej Maryny.

Wartko siwa woda w Kościelisko płynie,
Ale on nie wróci ku swojej dziedzinie.

Mówiła mu matka: »Nie goń ty po drogach,
By ci nie zberczały łańcuszki na nogach.

Nie chodź poza buki na ludzkie barany,
Byś w ciemni na zamku nie gnił okowany.

Jedynaka ciebie Pan Bóg mi zostawił,
Patrz, byś matczynego serca nie zakrwawił«.

Mówiło mu dziewczę, zalało się łzami:
»Jasiu najmilejszy nie chodź z zbójnikami.

Nie przystawaj ku nim, husary cię schwycą,
Będziesz ziąbł na mrozie popod szubienicą.

Głowiczkę ci zetną, zasują cię w grobie,
Siwe moje oczy wypłaczę po tobie.

Jak się za jastrzębiem cień po ziemi włóczy,
Tak za tobą wszędy lecą moje oczy.

Kiej mie ty odejdziesz, cóż mi haw zostanie?
Będę, jak ta limba samiutka w polanie.

Warkocz mi rozplecie ino wiatr, co duje,
Ino woda z źródła lico pocałuje.

Zostań Jasiu doma, zostań poniewoli,
Bo mię od żałości młode serce boli«.

Stoi Jaś przed niemi, wsparty na siekierce,
Odpowiada matce i swojej freierce:

»Na coś mi matusiu dobrze jeść dawała?
Równo mi się widzi dolina, czy skała.

Kie siekierą zatnę w sękate jawory,
Jak ta piana z wody, tak się kurzą wióry.

Widziałaś mię matko, jakem wóz przeskoczył,
Co go Bartków Kuba na boisko toczył.

Kiedym se wywinął ciupagą na Kirze,
To się ludziom z okien porobiły dźwirze.

Psa, choćby jak leciał, za ogon dopadnę,
Ani mię przełazy nie ogłupią żadne.

Czyś mię to chowała na dziada w kościele?
Jak się postarzeję, legnę se w popiele.

Jako ten Janosik pójdę po dziedzinie,
A choćbym zaginął — imię nie zaginie.

Nie płacz Hanuś darmo, bo się serce żali;
Przyniosę ci z za gór perłów a korali«.

Poszedł Jasiek na zbój w górę dolinami:
Horni za nim chłopcy idą z ciupagami.

Stąpa Jasiek szumnie, wysoko się niesie,
Że się mało znajdzie wyższe drzewo w lesie.

Idzie przez Orawę, aże ziemia jęczy:
Piórko mu się miga, zbroja na nim brzęczy.

Świeci mu się blacha z mosiężnym łańcuszkiem,
Kółeczkami zberczy ciupaga z obuszkiem.

Flintę ma przez plecy, pistolet za pasem,
Nóż w mosiądz oprawny, i tak idzie lasem.

Zaśpiewałeś bratom Janiczku sokole,
Jakby buk zaszumiał pomiędzy topole:

»Śmiało chłopcy, śmiało, jest hań żyd bogaty,
Będziemy mierzali kotlikiem dukaty.

Choćby ta Orawców było sto tysięcy,
Ja się ich tak boję, jako wilk zajęcy.

Choćbyście zjechali husary z szablami,
To ja se wywinę ciupażką nad wami!«

Huknęli mu na to towarzysze chórem —
Szeroko, daleko leci echo borem:

»Nabierzemy złota i talarów worem,
Zakopiemy w lesie pod starym jaworem.

Od buczka do buczka, aże do jawora,
Hań nasze pieniążki, hań nasza komora.

Zbójecki hetmanie ku dolinom z góry,
Jako się gradowe uniżają chmury«.

Spadł Jaś z zbójnikami w orawską zagrodę,
Jak ten orzeł z wiatru na koźlątko młode.

We drzwi od komory zadźwięczał obuszek —
Nasypie Jaś Hance dukatów w fartuszek.

Podpalił se miasto na wsze cztery rogi:
Nie chciał po ćmie macać między pola drogi.

Zobaczyli ogień husary czerwony,
Wiatr im konie niesie przez łąki, zagony.

Przyjechali duchem, w brzęczącym rynsztunku,
Dopadli zbójników jeszcze na rabunku.

Broni się Jaś ostro, ciupagą się broni:
Dwunastu husarów zwalił na ziem z koni.

Trzynasty go husar szablą dźgnął pod ziobro:
Nie pójdziesz ty więcej już na ludzkie dobro«.

Bronią się zbójnicy, skaczą ponad dachy,
Migają im w ogniu, jako gwiazdy, blachy.

Leje się krew po nich, jak po smrekach smoła —
Darmo się ty bronisz, kiej śmierć na cię woła...

Husary ich skuli w żelazne okowy,
Wiedli ich przy koniach w dziedziniec zamkowy.

Tam ich rychtar zamknął w zamczysku wysokiem,
Stamtąd pozierają zapłakanem okiem.

Ku Tatrom się potok przez łąki przelewa,
A Jaś patrzy za nim, zasmucony śpiewa:

»Po coś mię rodziła, matko moja miła?
Kiej mię wieszać pójdą, będziesz się hańbiła.

Już cię nie ucieszę tańcem, ni robotą,
Zmarniły ci syna zuchwałość i złoto.

Pierwej ten Dunajec zwyrtnie się do góry,
Niźli mię wypuszczą za te białe mury.

Pierwej buk do nieba korzeniem wyrośnie,
Niż ja wygnam statek na hale o wiośnie.

Żałuj Panie Boże, com ja we frasunku:
Ślubowałem na mszę dukata z rabunku.

Ej! Kieby to Bóg dał, cobym ja się wrócił,
Rychtarem bym orał, husarami młócił.

Bratowie, bratowie, co ze mną cierpicie,
Dyć się na wolności miodem czyni życie.

Żegnajmyż się teraz, mili towarzysze,
Jutro nami wiater zimny zakołysze«.

»Hej! góry, polany i zielone lasy,
Żegnamy was dzisiaj na wieczyste czasy«...

Tak oni śpiewają na zamku, w okowach,
A Hanusia w lesie zawodzi przy krowach:

»Strzegłaś matko Jasia, jako swej źrenicy:
Dziś ci go powiodą, oj, ku szubienicy.

Chowałaś go matko, jak tego sokoła,
A dziś ci go rzucą do ciemnego doła.

We dnie miesiąc, gwiazdy będą się świeciły,
Kiedy ku mnie przyjdzie mój kochanek miły.

Prędzej gniazdko zlepi jaskółka na hali,
Niż się moje serce Janiczka odżali.

Prędzej, skowroneczku, siądziesz na jeziorze,
Niż mię Jaś przytuli ku sobie w komorze.

Kwitnie biała lilja, kwitnie majeranek,
Ale darmo więdnie mój zielony wianek.

Srebrzy mi się siano na stodole świeże,
Łzamim je srebrzyła, sama na niem leżę.

Nie będę ja w ślubnej chodziła sukience,
Nie pierścionka mi trza, ale krzyżyk w ręce.

Nie ściel mi matusiu łóżeczka na dwoje:
Drewniana trumienka będzie łóżko moje.

Sama se weń legnę i więcej nie wstanę,
Zginę, jak te róże z krzaka oderwane.

Panienko najświętsza, czyś zaniewidziała,
Coś mi mego Jasia biedzie zabrać dała?«...

W stajni matka siwa koniom jeść zakłada
Siano za drabinę, i tak do nich gada:

»Sama wam jeść daję koniki cisawe,
Bo mi Jasia wzięli na zamek w Orawę.

Ani ja się moim synem nie ucieszę,
Ani on wam zgrzebłem grzywy nie rozczesze.

Ani ja weselne posprawiam mu gody,
Ani on wam w putni nie przyniesie wody.

Koniki cisawe, czekać go daremnie,
Czekajcie, aż serce rozpęknie się we mnie.

Męża mi zabili na wojnie daleko,
Dziś-ci mi katowie syna na śmierć wleką.

Pole mi zarośnie, zmarnieje chudoba,
Dyć se Pan Bóg robi, co mu się spodoba«.

Matka i kochanka tak za Jasiem płacze,
On na szubienicy, a kruk nad nim kracze.

Wiater nim porusza, jak tym liściem w borze,
Pójdzie Jaś do ziemi, jako liść na morze,

Osępiały Tatry, ino potok huczy,
I wiatr gra po lesie, po hali się włóczy.

Pojedli juhasi, zaśpiewali sobie:
»Horny Janko leży na Orawie w grobie.

Leżą szumni chłopcy, zbójowali śwarnie,
Dyć ich wychytali, poginęli marnie.

Płakał sam Pan Jezus i Maryja święta,
Kiedy ich wojacy okowali w pęta.

Hej! Jęczały Tatry, jęczały wąwozy,
Kie im zakładali na gardła powrozy.

Skrzypi szubienica cienko wykrzesana,
Cieszy się Orawa biało murowana«...

Starodawny grajek poprzed karczmą siedzi;
Wybił-że on, wybił niemało niedźwiedzi.

Głowa mu zsiwiała, jako wierch od śniegu,
Śmierć go wnet zabierze, jak drwal jodłę z brzegu.

Brzęczy na gęślikach nutę staroświecką,
Wyskładał i śpiewa na nutę zbójecką.

»Janosik, Janosik w czarnej ziemi leży,
Byłże to chłop głośny, jako dzwon na wieży.

Szeroko, daleko dzwon na świat wybija:
Co Janosik kroczył, niosła się gloryja.

Urwałeś się dzwonie, nic-że już po tobie:
Skończył się Janosik, leży w ciemnym grobie.

Dobrzy chłopcy byli, kanyż się podzieli?
Hej! Jeden po drugim marnie wyginęli.

Na zwalonym pniaku nie odrosną liście:
Dobrzy chłopcy śpijcie, czarną ziemię gryźcie.

Pogniły jawory i limbowe lasy,
Ka się nam podziały nasze dobre czasy?«...

## Na pogrzeb Teofila Lenartowicza.

Znowu Ci Polsko ubył syn
Z najlepszych Twoich synów — —
U obcych progów kędyś tam
O łanach naszych śpiewał nam,
Sercem miłował prosty gmin,
Tęsknił doń z pod wawrzynów.

Więc niech Mu lekkim będzie sen
Nad wodą Wisły siwej — —
Grób Mu nie w lauru wieńczcie liść
Ale nań rzućcie wierzby kiść,
Polne konwalje, chłopski len
I kłosy z chłopskiej niwy.

U spracowanych Jego stóp
W noc cichą i miesięczną
Niech siądzie koło naszych dziew,
Niech Mu zawiodą tęskny śpiew,

Niech na fujarce gra Mu chłop
Pieśń prostą, smutną, dźwięczną.

Duch Jego przyjdzie słuchać nut,
Co mu najmilsze były — —
Spojrzy na łan pszeniczny w krąg,
Odetchnie wonią polskich łąk
I uraduje się, że lud
Serce mu śle w mogiły...

# II.

# Z DAWNEJ PRZESZŁOŚCI

## I.

Czyś ty snem była?... Czy jak gwiazda blada,
Co pośród mgławic niknie i przepada,
Znikłaś, przepadłaś?... Spłynęłaś, jak fala,
Co się przez chwilę w księżycu skrysztala?...
Jak woń, na wietrze niesiona od sadu,
Precz uleciałaś, zginęła bez śladu?...
Czyś ty snem była?... Jakaś wizya złota,
Jakieś marzenie z jezior szmaragdowych,
Z śródleśnych zacisz i z lasów jodłowych,
Z błękitnych zamgleń, z miesięcznego złota
Powstała cudem?... Czyś w słońca uśmiechu
Przemknęła, jako pył kwiatowy złoty?...
W tatrzańskich kaskad przebrzmiałaś mi echu,
Nie zostawiając nic, oprócz tęsknoty?...

II.

Tyś nie umarła, a jednak zaiste
Dla mnie zagasły twe oczy świetliste,
Dla mnie są zimne twe usta, nie płonie
Dla mnie krew ogniem w twojem młodem łonie.

W pamięci mojej złożyłem cię grobie
Taką, jak byłaś — — gdy myślę o tobie,
Widzę cię taką, jak niegdyś dziewczyną — —
A lata płyną, puste, głuche płyną.

III.

W pamięci mojej stanęła tak blada,
Jak widmo senne,
A przed tem widmem cały świat upada
W głębie bezdenne.

Upada z całą swą walką, cierpieniem
W głębie bezdenne,
Przed jednym bladym i znikomym cieniem,
Jak widmo senne.

IV.

Zdaleka patrzą na mnie twe oczy
Błękitne, duże,
A chociaż takie są jasne, jak słońce,
Powiek nie mrużę.

Powiek nie mrużę i nieolśniony
Tym blaskiem stoję,
Bo jak lód zimne, choć jak słońce, jasne
Są oczy twoje.

V.

Coraz to większy czar mnie uderza
Z lic twych obrazu,
Patrzę weń często, często i długo
Z tęsknotą bez wyrazu.

I z serca mego w twoje bym serce
Krew przelał, miła,
Własnem mem życiem chciałbym to sprawić,
Abyś mi ty ożyła...

VI.

Słyszałem ciebie... zdało mi się może,
Lecz głos twój dzwonił mi chwilę w przestworze,
Podobny woni, ziół i kwiatów echu,
Co w przestrzeń leci w powietrznym oddechu.

Może bez wiedzy twej, we śnie, w odległy
Kraj ku mnie myśli twe cicho pobiegły,
Jak te jaskółki, co niekiedy wrócą
Zobaczyć dawne gniazda, które rzucą.

## VII.

Zda mi się czasem,
Jakby mi na twarz padało to słońce,
Co w ową wiosnę świeciło przed laty
Dziwnie promienne — —
Jakbym tak samo, jak wówczas pachnące
W ogrodzie naprost mych okien czuł kwiaty,
Kwiaty wiosenne...

Zda mi się czasem,
Że mi ta wiosna czarowna powraca
I wszystkie moje umarłe marzenia
Zmartwychpowstaną — —
I cały świat mi szkli się i rozzłaca,
I patrzę w jakieś świetlne oddalenia,
W rozwiej świetlaną...

## VIII.

Odbicie rysów jej stoi przedemną:
Patrzę w te oczy przepełne słodyczy,
I znów mi wszystko pada w otchłań ciemną
Przed bladym cieniem mojej Beatryczy.

Ja mogłem kochać tylko ciebie jedną!
Napróżno lata za latami liczę — —
Wszystkie mych pragnień skrzące słońca bledną
Przy bladym cieniu twoim, Beatrycze...

## IX.

Kocham cię jeszcze... Ani mnie powiedzieć
Niewolno tego, ani tobie wiedzieć,
Lecz ja nie żądam nic, nawet pamięci...
A wszak tym, którym na oczy się rzuci
Noc: o jasności nikt marzyć nie broni,
I to marzenie najwięcej ich nęci,
Chociaż im jasność nigdy już nie wróci
I chociaż bardzo cierpią tęskniąc do niej.

## X.

Nim mię zagryzie czczość i smutek życia,
Spazm żądz daremnych i gorycz niewoli:
Myślę o tobie, na zawsze stracona,
Chcąc się zagłuszyć, choćby tem, co boli.

Tak na ponurej, ciemnej morskiej fali
Rozbitek, zanim odmęt go pochłonie,
Chwyta się deski z potrzaskanej łodzi,
Choć mu gwóźdź tkwiący w niej rozdziera dłonie.

## XI.

Dlaczegóż teraz nie mogę gdzieś z tobą
W zaciszu siedząc, wieść cichej rozmowy?
Czemuż nie mogę ująć twoich dłoni,
Na mem ramieniu uczuć twojej głowy?

Czemuż nie mogę podzielić się z tobą
Każdym oddechem, każdym kęsem chleba,
Każdą radością i każdą boleścią — —
I tylko tak mi wiecznie tęsknić trzeba...

## XII.

Idę przez drogę życia złą i ciemną,
Dokąd?... Czyż wiem?...
A zawsze, wszędzie twój cień idzie ze mną,
Nocą i dniem.

Zawsze i wszędzie słucha serca mego
Najskrytszych drgnień,
Ani opuszcza mię, choć lata biegą,
Twój blady cień.

## XIII.

Pamiętam ciebie... Zda mi się, że cała
Jasność mojemu życiu przeznaczona
Przeszła wraz z tobą, wielka i wspaniała,
I nigdy więcej, nigdy nie zadnieje...
A nieraz jeszcze wyciągam ramiona
Tęskne za tobą, jakbym miał nadzieję,
Że przyjdziesz do mnie i nie mogę do tej
Myśli przywyknąć, żeś dla mnie stracona,
Że nie zostało mi nic, prócz tęsknoty...

Pamiętam ciebie... Dzień mi bez godziny
Nie spłynął jeden, choć lat zbiegło wiele,
Żebyś ty z wspomnień mych ciemnej głębiny
Nie wyłoniła się, cicha i blada,
Jaką widziałem cię niegdyś w kościele
Po raz ostatni... Naówczas owłada
Mną taki smutek i tak wielka żałość,
Jakbym cię wczoraj żegnał... Wobec cienia
Postaci twojej, wobec przywidzenia,
Czuję tę samą młodzieńczą nieśmiałość,
Te same dziwne dreszcze i pragnienia,
Jakiem czuł niegdyś — i nic już nie pomnę,
Ni lat przebytych, ni późniejszych wrażeń,
I myśli moje błądzą nieprzytomne
W krainie zmarłych, zmartwychwstałych marzeń...

# III.

# ZAMYŚLENIA

PAMIĘCI

MEGO OJCA I MOJEJ MATCE

## I.

Cicho i wolno, jak mgła, co się zrana
Z nad łąk podnosi przy lekkim powiewie
Wschodniego wiatru i w przestrzeń ulata:
Tak nieraz myśl ma tęskna, zadumana,
Podobna ż nad mórz wzlatującej mewie,
Wznosi się w przestrzeń nadziemskiego świata.

I jest to moja najmilsza godzina
Lecieć tą pustką cichą i przejrzystą
Ponad kopułę niebiosów — — w bezmiary...
Zrazu mię jakaś toń okala sina,
Powoli w głąb się mieniąca świetlistą,
Gdzie biało-złote włóczą się opary.

Potem jest jasność niezmierna, zamyśleń
I ciszy pełna, nie wiem skąd idąca,
Bo nigdzie światła nie widać krynicy
Przestrzeń bez żadnych dla oczu zakreśleń,
Blask większy, niźli promienienie słońca,
Lecz nie rażący jaskrawo źrenicy.

I głusza kotlin i jakby harmonii
Leśnej podźwięki i wielka, niezmienna
Spokojność jezior widnych w oddaleniach — —
I w owej pustej, niezgłębionej toni
Myśl ma zawisa nieruchoma, senna,
Podobna orłom, co zasną w przestrzeniach.

## II.

Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie
Są treścią mojej duszy... Z skrzydły złamanemi
Myśl ma, zamiast powietrzne przerzynać bezdenie,
Włóczy się, jak zbarczone żórawie, po ziemi.

Cóż, że zrywa się czasem i wzlatuje w górę
Z smutnym krzykiem tęsknoty do sfer, kędy słońce
Nieśćmione wyziewami ziemi, jasno gore,
I gdzie szumią obłoki z wiatrami lecące?...

Złamane skrzydła lecieć nie zdołają długo,
Myśl spada i pierś rani o głazów krawędzie,
I znów wlecze się, znacząc krwi czerwoną strugą
Ślady swej ziemskiej drogi — — i tak zawsze będzie.

---

## III.

Tam — — chciałbym jedno: w niezmiernem prze-
[stworzu
Tonąć jak delfin tonie w wielkiem morzu,
I patrzeć z góry, jak woda prześwieca
Przez gąszcze wiklin w poświacie księżyca;
Jak blade róże czarę aksamitną
Otwarłszy słońcu złocistemu, kwitną;
Jak w czas zachodu na błękitów skłonie,
W płomiennych łunach lód na wierchach płonie;
Nad wielkie, głuche, modre oceany
Mgławic leniwe falują tumany,
A po zielonych wyspach gdzieś daleko,
Błyszczące węże na słońcu się wleką...
Niech mi tam zapach z górskiej poszlą łąki
Skoszone siana i błękitne dzwonki;
Z hal niech mi wichry na skrzydłach doniosą
Woń limb, poranną operlonych rosą;
Niech mi tam szumią z oddali kaskady
Mych gór rodzinnych, szemrzą ciche lasy,

Niech mi w polanach zagrają juhasy,
W upłazach owiec zadzwonią gromady...
A czasem niech mi naokoło głowy
Skrą się owinie wąż błyskawicowy,
Lub zabłąkana gdzieś światłość miesiąca
Na oczach moich niech odpocznie drżąca...
Tam — — w owej pustce cichej i bezdennej,
Niech nic zadumy nie mąci mi sennej,
I wszystka pamięć niechaj wyjdzie ze mnie,
Żem tyle pragnął na ziemi daremnie,
Że ile razy ręce wyciągnąłem
Wszystko mi zawsze było za daleko — —
Tam — — niechaj orły krążą mi nad czołem,
Wiatr łamią piersią i skrzydłami sieką...

## IV.

Gwiazdy, wy kwiaty, co się rozwijacie
Na łące niebios o cichym wieczorze,
A kiedy wstają przedsłoneczne zorze,
Jak brylant w ogniu, giniecie w szkarłacie:

Po jakiejś drodze mistycznych zachwytów,
Dążeń tajemnych, tęsknot nieokreśnych,
Myśl moja leci ku wam i w bezkreśnych
Głębiach kołuje bezdennych błękitów.

W melodyach światła waszego się pluszcze,
W tajemnych wśród was przepada otchłaniach,
W tysiącznych skonach i zmartwychpowstaniach
Przelata niebios nieskończone puszcze.

I jest jej, smutnej i w sobie zamkniętej,
Dobrze tam, wśród was, smętnych i tajemnic
I milczeń pełnych, wiszących wśród ciemnic,
Jak dusze pchnięte w zamyśleń odmęty.

I jest jej dobrze czasem, jak stepowy
Rumak, co wicher piersią w pędzie chwyta
I złote iskry sypie z pod kopyta:
Lecieć i lotu znaczyć ślad ogniowy.

A czasem idzie jako dziecko w lesie
I trwożnie szuka między wami drogi,
Czując olbrzymie jakieś tajne bogi,
Jak lwy w pustyniach, błądzące w bezkresie.

## V.

Cudowna nocy, słodka i kojąca,
Oto ma dusza znużona i blada
Na łono twoje bezsilnie upada
Pod blask miesiąca.

Ciche ją światło obejmuje całą,
Usta jej pieszczą łagodne promienie,
I dziwne schodzi senne zachwycenie
Na półomdlałą.

Zwolna ramiona zmęczone rozszerza,
Otacza niemi słup światła przeźroczy,
I upojona, światłem sycąc oczy,
Płynie w bezmierza.

Zbłąkany w drodze na jej bladej skroni
Gwiazdy spoczywa promień modro-złoty,
Niosąc jej z sobą marzące tęsknoty
Ku wielkiej toni...

I zdaje mi się, że tam skądś, z ciemności,
Wychodzi postać jakaś jasna, cicha,
I do mej sennej duszy się uśmiecha
Pełna miłości.

Zda mi się, jakby wychodziła ku mnie
Ta moc, co w wodach jest, górach, błękicie,
Gwiazdach i kwiatach, wszędzie — — która życie
Obudza w trumnie.

## VI.

Czasem gdy marzę w późną noc, z oddali
Muzyka jakaś cicha ku mnie płynie,
Nieziemska jakaś, dziwna i mistyczna,
Kędyś w bezkresu poczęta głębinie.

I zdaje mi się, żem ją niegdyś słyszał,
Gdzieś przed wiekami, wśród głuchych przestrzeni —
Dziwne wspomnienia błądzą w mojej duszy
Dziwne mgławice ledwo widnych cieni.

I jakieś widzę, jakby w mgłach pamięci
Zgubione światła, podobne do sennych
Gwiazd, co mdlejąco majaczą w pomroczu,
W czas zadumanych wieczorów jesiennych.

I myśl ma wpływa, cicha, zadumana,
W jakąś głąb pustą, milczącą, tajemną —
I zdaje mi się że tajny Duch świata
W mistycznych echach mówi wówczas ze mną.

## VII.

Żegnam cię, ty promienna, jasna, kryształowa,
Rozkwitającą, bujną wiosną woniejąca,
Bądź zdrowa złota zorzo pogodnego słońca,
Czarodziejko potężna, wszechmocna — — bądź zdrowa!

Żegnam cię, ty, co wiedziesz na spiże i miecze,
Na rozszalałe fale, we wrące płomienie;
Na drogi, gdzie strach blady mieszka i cierpienie,
Gdzie zaraza strudzoną śmierć za sobą wlecze,

Nie zdejmując uśmiechu z twarzy, ani chłodu
Przerażeń w krew nie sącząc; ty, co nowe moce
Dajesz ludziom, gdy los ich złamie i zdruzgoce,
I cenniejszą nad wszystko — niepamięć zawodu.

Żegnam cię! Jak z innymi, przyszłaś na świat ze mną,
Lecz mi cię wydzierano i w końcu wydarto — —
Wiaro w życie! Żegnam cię! Żegnam cię!... Nie warto
Żyć bez ciebie, a chcieć cię odzyskać — — daremno...

## VIII.

Nie mam już dzisiaj przy sobie nikogo, nikogo,
Pusto jest w mojej duszy i pusto dokoła — —
Idę mą głuchą, smutną i męczącą drogą
Bez kierunku, bo nikt mię i nic mię nie woła.

Zda mi się, jakbym kędyś wieczorną ciemnotą
Ogarnięty, powoli przez puste szedł pole,
Zasłane brudnym śniegiem, topniejącym w błoto —
Gdzieniegdzie sterczą głuche, posępne topole.

Las jakiś ciemny, smutny widnieje daleko,
Z mglistych, ciężkich niebiosów księżyca promienie
Przez powietrzne pustynie ospale się wleką
Ku ziemi, ledwie świecąc. Dokoła milczenie.

Idę patrząc przed siebie — — oczy moje giną
W szarości chmurnej, chłodnej, rozsnutej dokoła —
Śnieg koło topól leży masą biało-siną —
Idę bez celu — — nikt mię i nic mię nie woła.

## IX.

Struna po strunie pęka, kwiat po kwiecie
Więdnie i ginie, blask kona po blasku,
Coraz jest ciszej, ciemniej i bezwonniej.

Coraz jest smutniej... Na kłos padły śniecie,
Na łany śnieg padł... Próżno — — nikt pobrzasku
Nie wróci dniowi, co się w pomrok kłoni.

Próżno po wiośnie czekać tych wiosennych
Ożywczych wiatrów, siejących w świat rosą,
Niosących z sobą dźwięk, światło i wonie — —

Nie przyjdą, z tajni, gdzie legły, bezdennych
Nie wstaną, słodkich wzruszeń nie przyniosą,
Nie zadrga serce, ani krew zapłonie...

---

## X.

Cichy wieczorny mrok. Na niebie bladem
Srebrny księżyca sierp i jedna jasno
Świecąca gwiazda. Na zachodzie blaski
Słońca, co smętnie w dół zapada, gasną.

O takiej chwili niegdyś niosłem z sobą
Na wolne pola, na szerokie tchnienia,
Miłości moje, tęsknoty, nadzieje,
I dziwne, cudne dziecinne marzenia.

I całą pełną, wezbraną mą duszę
Sennej naturze rzucałem na łono
Jak skarb olbrzymi!... Cóżem dziś jej rzucił?
Pustkę bezdenną, próżnię nieskończoną.

## XI.

Odpocząć!... Oto jedno, jedyne pragnienie,
Jakie mam jeszcze... Znaleźć kędyś ciche leże,
Jakichś jezior błękitnych dalekie wybrzeże
I błękitnego nieba otwarte sklepienie.

Nad głową moją namiot niech uplotą liany
Zawieszone na jodeł i sosen konary
Żywiczne i szumiące; przez namiotu szpary,
Niech się wkrada płochliwie blask słońca różany.

A gdy drzewa o zmroku w rosę się ustroją,
Niech mi rosa kroplami łez spada na czoło...
Pomyślę, że się jodły rozpłakały wkoło
Nad złą dolą mych drogich, nad złą dolą moją.

---

## XII.

Na spokojnem, ciemnem morzu,
Chciałbym teraz leżeć w łodzi,
Gdzie już żagli niema białych,
Ni szum statków nie dochodzi.

Cały ciężar ten z mych ramion,
Co mię zgina i obali,
Chciałbym rzucić w otchłań wodną
I na ciemnej leżeć fali.

Naokoło niech mi cicho,
Niech mi sennie przestwór dźwięczy,
I niech ciemne głębie w słońcu
Kolorami grają tęczy.

Tam, tysiące mil od brzegu,
Na bezdeni, pod jasnością,
Patrząc w niebo nieruchome
Niech upajam się nicością.

---

## XIII.

Nirwano! Pochyl ku mnie twarz matowo-bladą,
Ściągłą, z blademi usty i czołem z marmuru,
Kędy się zamyślenia nieskończone kładą,
Jak mgławice na morzu chłodnego lazuru.

Zwróć na mnie oczy twoje, błękitnych wód tonie,
Głębokie, nieruchome, z pod przymgleń świetliste,
Jak miesiąc, co za mgłami przeźroczemi płonie,
Przetajając w nich światło niebiesko-srebrzyste.

Z spływającą ku ziemi, jak falista rzeka,
Falą włosów, co lniane są, matowo-płowe,
Podobnych z woni kwiatom, co zwolna człowieka
Odurzają i duszą: pochyl ku mnie głowę.

Wyciągnij ku mnie dłonie, gdzie mdlejące tuje
I zwiędłe tkwią narcyzy i zbladłe lilije,
Których zapach powietrze przesyca i truje
I skąd oddech omdlałość letargiczną pije.

Niech ulegnę senności, co z postaci twojej
W seledynowe, wiotkie odzianej osłony,
Snuje się i owija pierś nakształt powoi
Owijających drzewo mnogiemi ramiony.

Chcę zasnąć... Przesyt pragnień i niesytość czynu
Męczy mnie i zabija... Jestem, jak żeglarze
Wtrąceni do więzienia, gdzie giną ze splinu,
Marząc o świście wichrów i fal morskich gwarze.

## XIV.

Rzuciłem ludzi... Noc, spokój głęboki — —
W ciemnościach szumią wezbrane potoki — —
Smutno i gorzko... Dlaczegoż z śród ludzi
Ja nie wyniosłem ani źdźbła wesela?
Cóż jest, co serca ich dokoła studzi?
Cóż jest, co od nich murem mnie oddziela?
Cóż jest, co nie da mi tak czuć, jak oni,
Myśleć ich myślą?... W ciszy potok dzwoni,
W ciemnościach głuchych błysła gwiazda blada —
Dusza ma ginie w jakiejś czarnej toni,
Coraz w nią głębiej, głębiej, głębiej spada...

## XV.

Rdzawe liście strząsa z drzew
Wiatr jesienny i gna precz —
Poniesione w chłodną dal
Nie powrócą nigdy wstecz.

Żaden z liści więcej już
Nie odrośnie na swym pniu,
Poniesiony w chłodną dal
Nie powróci nigdy tu.

Nie powrócą nigdy tu,
W moje serce, do mej krwi,
Te marzenia, które czas
I poznanie wzięły mi.

## XVI.

Zdaleka ku mnie płyną
Chopin'a smutne tony,
I duszą mą owłada
Żal nieskończony.

Chciałbym wyciągnąć ręce
I lecieć gdzieś w przestworza,
W wieczornych cichych mgławic
Bezdenne morza.

Coś rwie mi serce z piersi,
Od ziemi mię odtrąca — —
A gardło moje dławi
Gorycz paląca...

## XVII.

Czasem zda mi się, że to wszystko sen,
Przestrzeń mej myśli i cały świat ten,
Ziemia i błękit i światła w błękicie,
I bóstw idea władających skrycie..

Snem mi się zdaje Chrystusowy cień,
Snem noc zwątpienia, snem nadziei dzień,
Snem zło i dobro, snem śmierć i tworzenie,
Snem byt, snem nawet własne me istnienie.

A kędyś ocknąć się mam z tego snu,
Gdzie? kiedy?... nie wiem, li wiem, że nie tu;
A tak się ocknąć mam, jak dziecko po śnie
Strasznym, co przez łzy śmieje się radośnie.

Gdzie? kiedy?... nie wiem, ni wiem, co jest tam,
Kędy się ocknąć ze snu życia mam...
Zda mi się — — jasność wielka, nieprzejrzana,
W jasności jedność w jedno z nią współzlana.

Ach! Gdybyż nigdy nie rzucała mnie
Z myśli najlepsza, że ja tylko śnię,
Że cała nędza życia jest zwodniczem
Widzeniem tylko, że wszystko jest niczem...

## XVIII.

Dla kogo my żyjemy? Te żałoby,
Cierpienia nasze i smutki dla kogo?
Dla kogo głuche, zimne, ciasne groby,
Zionące ku nam ohydą i trwogą?

Czy może ciebie słońce na błękicie,
Czy was, wy gwiazdy z oczyma złotemi,
Cieszy to nędzne nieskończenie życie,
To zło bezbrzeżne, władnące na ziemi?

I żadne słowo nic mi nie tłomaczy,
I nie pojmuję nic na drodze mylnej,
Prócz rezygnacyi martwej, lub rozpaczy
Tem okropniejszej, że do dna bezsilnej!

## XIX.

Czcze wyobraźni odeszły mnie mary,
Znów jestem sam ze sobą, z moim duchem — —
Oczy me giną w jakiejś pustce szarej,
I myśl ma tonie w jakiemś morzu głuchem.

Prysły wiążące mnie z światem ogniwa:
Całe me życie jest we wnętrzu mojem,
Cała moc duszy z zewnątrz w jej głąb spływa
I drży, szarpana dziwnym niepokojem...

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi
Czarne jeziora rozsiane w pustkowiu:
W ciemnościach księżyc, blizko skraju ziemi,
Wisi podobny do tarczy z ołowiu.

Ponad czarnemi wodami, szuwary
I trzciny rosną i smutno szeleszczą;
Sklep nieba zda się sklepieniem pieczary,
Głęboką jamą, ciemną i złowieszczą.

Po czarnych wodach światło ciche, złote
Księżyca, chodzi wstęgą szklistą, drżącą,
I, jako lampa zaniesiona w grotę,
Świeci w ciemnościach mglisto i mdlejąco.

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi,
Jak duch mój, marze skrzydlatej podobny,
Błąka się w owej pustej, martwej ziemi,
A blask księżyca pada nań żałobny.

Idzie powoli i zwieszone włóczy
Skrzydła po jezior wodzie szklistej, błotnej — —
Na własnych stopach opierając oczy,
Idzie w głąb głuchą i ciemną, samotny.

## XX.

Gdy wejdę w tłum, myśl pierwsza, co się we mnie
[budzi,
Jest myśl o zbliżającej się śmierci tych ludzi,
Których widzę dokoła. Zda mi się, że słyszę,
Jak na zegarze życia ich życie przedzwania,
I czuję tę cmentarną, przeraźliwą ciszę,
W której spoczną, rzuceni robactwu na łupy,
Dziś pełni namiętności, marzeń, pożądania,
Jutro nieczułe, sztywne i ohydne trupy.
I tak boleśnie śmieszne, nędzne nieskończenie
Zdają mi się te myśli wszystkie i te czyny,
Które tu wypełniają człowiecze istnienie — —
A zegar życia bije posępne godziny.

## XXI.

Boże, ukryty tam gdzieś na niebiosach,
Ileż-to razy w rozwichrzonych włosach,
Z załamanemi na oczach rękami,
Z pianą na ustach i z krwią, w poszarpanej
Szacie pielgrzymiej, przez chmur nawałnice,
Przez grzmot ciemności i gwiazd huragany,
Odmęt dróg mlecznych, warczące mgławice,
Huk i wir komet o złotych ogonach,
Przez nieskończoność, wieczność, co skrzydłami
Wieją nademną, niosące w swych szponach,
Jak para orłów żerujących wraz,
Pobite łupy swe, przestrzeń i czas:
Dusza ma leci do Cię, przed Twój próg,
Całą tę wzgardę, którą w nią wtłoczyła
Ludzkość nikczemna, zła, ciemna i zgniła,
Rzucić i pytać: czy patrzysz Ty, Bóg?!

## XXII.

O czaszko! Kiedyś czyja ręka może
Podejmie ciebie z cmentarnej gdzieś ziemi — —
Będziesz tak cicha i nikt nie odgadnie,
Jakie świeciły w tobie natchnień zorze,
Jakiem pragnieniem, żądzami jakiemi
Płonęłaś cała? Na wieki przepadnie
Cierpienie myśli co się w tobie mieści,
Jak perła w muszli, której wartość cała
Stąd, że nad inne czuła i cierpiała.
Z rozkoszy twoich i twoich boleści
Nic nie zostanie, ni kto zapamięta,
Błogosławionaś była, czy przeklęta?

---

## XXIII.

Jest dal nieznana w umyśle człowieka,
Ale granicę ma uświadomienie,
I z pod harpunu pojęcia ucieka
Niejedno próżno chwytane wrażenie.

Wieluż zagadek, tajni by nie było,
Gdybyśmy mogli odczuć to świadomie,
Co zmysły nasze, zbyt subtelną siłą
Dla pojęć naszych wchłaniają kryjomie.

I te odczucia, o które się kruszy
Wiedza, jak pocisk o kamienne mury,
Są tylko z tajną siłą naszej duszy,
Rozmową tajnych dla nas sił natury.

## XXIV.

Szukam cię zawsze, choć wiem, że nie znajdę
Tęsknię do ciebie, choć wiem, że cię niema,
Idę za tobą, choć wiem, że nie zajdę
Do twego domu, ścigam cię oczyma,
Choć cię nie widzę, choć wiem, że cię niema.

Do żadnej z kobiet, którem widział w życiu,
Tyś niepodobna — — widzę cię w mych oczach,
Jak gdyby w jakiemś przymglonem odbiciu,
Jak kwiat, w strumienia odbity przeźroczach,
Jak gwiazdę we mgłach, widzę cię w mych oczach.

I oto teraz, w tę noc księżycową
Cichą i jasną, kiedym rzucił tłumy,
Czuję twe ręce gdzieś nad moją głową,
I pełen jestem o tobie zadumy,
I żywszą dla mnie jesteś, niż te tłumy.

I z zimnem sercem wśród ludzi przechodzę,
Zaledwie patrząc i widząc, pół we śnie — —
Ciebie jedynie czekam na mej drodze,
I choć się zawsze zawodzę boleśnie,
Szukam cię wszędzie, przeczuwam cię we śnie.

## XXV.

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
Pójdzie za moją trumną, pierwszy raz mnie blizka,
Nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
Nieprzeczuwana nawet pod widzeń osłoną.

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu drży jej łono,
Czemu się do jej oczu paląca łza wciska,
Czemu na moją trumnę chce patrzeć tak zblizka,
Czemu jej usta drgają, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu po mnie płacze,
I czemu jest zazdrosna o mnie tam, w tej trumnie,
I czemu smutna, że jej nigdy nie zobaczę?...

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
Los, ale ją zapóźno przyprowadził ku mnie,
A wpierw szczęście me zdeptał, życie moje spaczył.

# IV.

# PRELUDYA

FERDYNANDOWI HÖSICKOWI

Gdyby ból każdy, w ludzkiej piersi skryty,
Jednę litości łzę wycisnął z oczu,
A łzy gwiazdami zalśniły w przeźroczu;
To stałaby się błękitów opona,
Jako kopuła lita, z gwiazd sklepiona,
Choć w nieskończoność ciągną się błękity.

## I.

Na jakichś pustyń niezmiernych ogromie,
Co w cichych mroków oceanie toną,
Cień w długiej szacie stoi nieruchomie
Z głową bezwładnie na piersi zwieszoną.

Miesięczna jasność, co na twarz mu pada,
Rysy jej rzeźbi i oświetla chwiejna — —
Ah! Chrystusowa to chyba twarz blada,
Taka bolesna, taka beznadziejna.

## II.

Życie — to zwykłe życie ciche, szare —
Kiedy mnie w swoje chwyciło ramiona,
Jak wampir, z duszy mej wyssało wiarę,
Tę krew, bez której dusza schnie i kona.

Nie ową wiarę dziecka, co się z trwogi
Przed mściwem bóstwem w modłach w prochu ściele,
Lecz tę, co każe wierzyć w dobre bogi
W olbrzymim życia władnące kościele.

III.

Kiedy patrzę na nędzę, co jest życia rdzeniem,
Nędzę ludzi i zwierząt i roślin: ból, trwoga,
Bezradność mię owłada, i chciałbym do Boga
Wołać o miłosierdzie, o żal nad istnieniem.

Ale nie mogę wołać... Jest coś, co okową
Żelazną pierś mą ściska i słowa w niej ścina,
Do ust z serca bijące, jak z ognia lawina — —
I milcząc patrzę w wielką przestrzeń lazurową.

IV.

Stokroć jest drzewu skazanemu lepiej,
Jeśli je piorun odrazu rozszczepi,
Niż kiedy czerw mu wśliźnie się pod korę,
I zwolna drzewo schnie i ginie chore.

I ludziom lepiej, jeżeli zwycięsko
Losy ich zmogą jedną wielką klęską,
Niż jeśli codzień po kropli im bryzną
W żyły powolną, lecz pewną trucizną.

V.

Szalone słonie przed się pędzą
Nie wiedząc dokąd, ani po co?
Nie dbając, co obalą piersią,
Co pod nogami podruzgocą?

Tak i konieczność przed się pędzi
I próżną wszelka tu obrona — —
Ni ją Prometeusza rozum,
Ni Heraklesa moc pokona.

## VI.

Czasem nagle uczuwam naokoło siebie
Taką straszną samotność, że wzrok kryję w dłonie,
By nie widzieć tej pustki na ziemi na niebie,
A w oceanie smutku dusza moja tonie.

I żadne mi już ziemskie nie starczy kochanie:
Pragnę nad śmierć silniejszej, mistycznej miłości,
A dusza moja, tonąc w smutku oceanie,
Dzieciom u stóp Chrystusa uśpionym zazdrości.

## VII.

Idzie na pola, idzie na bory,
Na łąki i na sady,
Na siwe wody, na śnieżne góry,
Na miesiąc idzie blady.

Idzie w niezmierną otchłań wszechświata,
Skąd blask dróg mlecznych prószy,
Idzie błękitna, cicha, skrzydlata
Muzyka mojej duszy.

## VIII.

Tam — — oby cisza już była na wieki,
Tam — — jeśli wzniosą się jeszcze powieki,
To oby po to, by w jasność niedrżącą,
W blask skrysztalony spoglądać milcząco,
I ginąć w bezdniach sennego błękitu,
I nic już nie czuć, nawet swego bytu.

## IX.

Zrzućmy tę maskę, co dusi i męczy,
A którą trzeba kłaść na twarz, by ludzie
W głąb nie zajrzeli — — jesteśmy samotni
I kres możemy położyć obłudzie.

Jesteśmy sobą: nic nas nie obchodzi,
I wszystko jest nam nicwartem do szczętu,
I nie czujemy nic, oprócz zmęczenia,
Nic prócz ironii, pogardy i wstrętu.

## X.

Długo się we mnie opierała w duszę
Iluzya w pierwszem zaszczepiona tchnieniu;
Długom wbrew woli ulegał otusze
I o mem własnem wątpiłem zwątpieniu.

Lecz dziś już nic się nie spodziewam zgoła,
Wszelką iluzyę z duszy mi wydarto,
Wielką zła przemoc widzę dookoła,
I pytam siebie tylko: czy żyć warto?

XI.

Gdybym dziś umrzeć miał, jakże nędznemi
Wydałyby mi się wszystkie boleści
Mej własnej duszy i wszystkie wszechziemi —
W obliczu śmierci cóż ma jaką wagę?
I tylko chciałbym, gdy się czas obwieści,
W twarz śmierci prosto spojrzeć mieć odwagę.

XII.

Przekląć! zapomnieć — — i nigdy już więcej
Myślą nie wrócić!... Dosyć miałem krzyży
I dosyć cierni — — żyłem jak straceńcy...
Nim w zdrój zdążyłem spojrzeć czysty, świeży:
W zgniłe, cuchnące spojrzałem bezedno — —
I dzisiaj tylko mam pragnienie jedno:
Przekląć! Zapomnieć!...

XIII.

Chcąc przerwać myśl, wyjrzałem przez me okno zrana:
Puste miasto, niebiesko-biały śnieg w ulicy,
Martwy, bezlistne drzewa, przestrzeń ołowiana,
Cisza, jak w głuchem wejściu cmentarnej dzwonnicy.

I nagle duszę moją chwyciła, jak w kleszcze,
Taka straszliwa rozpacz, takiem nerwów piekłem
Mózg zawrzał, że od okna i świata uciekłem,
Bo mogłem był oszaleć, gdybym patrzał jeszcze.

## XIV.

Nadmiar wstrętu do życia codziennej podłości
Jest mi chlebem i wodą, co trują i duszą,
Nie mam już w sercu żadnej łaski i miłości,
Gardzę i nienawidzę całą moją duszą.

Gardzę i nienawidzę — — gdybym dziś z tej ziemi
Odchodził, w świat posępny patrząc zagrobowy:
Odchodziłbym z oczyma jako stal, zimnemi,
Nie odwracając nawet raz ostatni głowy.

## XV.

Jedno mam tylko pragnienie: rozkoszy,
Bo rozkosz tylko wiedzę ćmi i zgłusza,
Energię myśli gnie, zadumę płoszy,
A nieszczęśliwa jest ważąca dusza.

Ważyć, czuć, myśleć, wiedzieć — równocześnie
Pojmując całą bezmoc swojej woli,
I widząc, że chcieć, to jest marzyć we śnie:
Jest to, co chyba najbardziej nas boli.

## XVI.

Na pełną pierś twą rzucam moje usta,
Pełnych twych bioder kształt lubieżnie pieszczę —
Spal mię w uścisku! Rozkosz tylko jedna
Naprawdę czar ma jakiś dla mnie jeszcze.

Zresztą nie nęci mię już nic — — napróżno — —
A jeśli w poczet walczących się liczę,
To tylko po to, aby głodnej hydrze
Mej dumy, rzucić, jak ścierwo, zdobycze...

## XVII.

Nie sądź po ustach do uśmiechu skorych,
Że się ból w czyjej nie zagnieździł duszy;
Nie wiesz, jak często nieraz walczyć trzeba,
Nim się jęk śmiechem zadławi i zgłuszy.

Bóg tylko jeden patrzy w ludzkie serca
I widzi raka, co tyle ich toczy,
Widzi te rany straszliwie krwawiące,
I sam On musi precz odwrócić oczy!

## XVIII.

Zimnem szyderstwem kryć trzeba tę żałość,
Co sobą duszy głąb wypełnia całą,
Trzeba się zdobyć na dumy wytrwałość
I na śmierć, nawet niechybną, iść śmiało.

I trzeba z siebie wydobywać moce,
By nie opadły skrzydła rozpostarte,
Ale przez życia ciemne, mroźne noce,
Niosły — — lecz dokąd?... Co i gdzie jest warte?...

## XIX.

Płomienie w mojej duszy tłumią się i kłębią,
W sercu mojem jest gorycz, pustka i tęsknota,
Oczy me w nieskończone otchłanie się głębią,
Słuch utopiłem w szumach posępnej rozwiei — —
Pojąłem całą nędzę ludzkiego żywota
I zrozumiałem całe nicestwo nadziei.

I oto duch mój zawisł (jako ślepiec który,
Co stoi na bezdrożu w strapieniu i trwodze) —
Ze skrzydły rozpiętemi, co ni rwą do góry,
Ni go na dół puszczają — — ni spada, ni wzlata — —
Nie wiem, po jakiej sam tu winienem iść drodze,
Ani wiem, jaką drogą winien iść krąg świata?

## XX.

Tyle nas razy zimno odepchnięto,
Tyle nas razy zraniono boleśnie,
Jednak się jeszcze serce rwie do ludzi
I ból swój rzuca w niepamięci pleśnie.

Jednak się jeszcze rwie, ściśnięte żalem
I beznadziejną tęsknotą trawione — —
I po co? po co? Aby z nową raną
Upaść w bezdenie smutku nieskończone.

## XXI.

W odczucia mego głąb spoglądam z żalem —
Coraz to większe dzielą mię przestrzenie
Od wrażeń dawnych świeżości i siły — —
I jest mi smutno, smutno nieskończenie.

Próżno chcę dzisiaj, by mi pełnię wrażeń
Dało bledniące z każdym dniem wspomnienie,
Próżno chcę wskrzesić umarłych posągi — —
I jest mi smutno, smutno nieskończenie.

## XXII.

Smutną jest dusza moja aż do śmierci — —
Opuszczam ręce, niech się co chce, dzieje,
Już mi cios żaden mózgu nie przewierci,
Bom już zeń wygnał do szczętu nadzieję.

I oto stoję milczący, jak we śnie,
Nad urną pragnień mych, rozbitą w ćwierci,
A żem ją strącić musiał w proch tak wcześnie,
Smutną jest dusza moja aż do śmierci.

## XXIII.

Głucho jest w duszy mojej i zimno — — daremnie
Szukam w niej choćby iskier dawnego płomienia —
Zagasł niepodsycany — — czuję, że już we mnie
Serce kona, przechodzi zwolna w śmierć z uśpienia.

Mieć serce, ale martwe, w piersi, jako w grobie,
Przeraża mnie, i nie wiem, co jest większa męka:
Czy gdy próżno chce serce znaleźć czucie w sobie,
Czy kiedy czuje, ale od boleści pęka?

## XXIV.

Po szerokiem, po szerokiem morzu
Płynie okręt z kotwicą urwaną,
Wiatr go pędzi coraz dalej, dalej
W przestrzeń pustą, chmurną, ołowianą.

Po szerokiem, po szerokiem morzu
Nie do brzegu ty płyniesz, okręcie,
O podwodną gdzieś uderzysz skałę
I bez śladu przepadniesz w odmęcie.

## XXV.

Czasem, gdy długo napół sennie marzę,
Cudny kobiecy głos mię skądś dolata,
Anielskie jakieś śpiewający pieśni,
Piękniejsze, niźli wszystkie pieśni świata.

W głos ten się całą zasłuchuję duszą,
Serce mi z piersi tęsknota wyrywa,
Poszedłbym za nim wszędzie, wszędzie... Niewiem,
Czy to się miłość, czy śmierć tak odzywa?

## XXVI.

Ponuro gwiżdże północny wiatr,
Świat ginie w chmurze śnieżnej —
Zda się, że piersi rozerwie mi
Żal gorzki i bezbrzeżny.

Więc bez odpłaty za młodość mą
Życie mi całe spłynie?
Nie wstanąż szczęścia dni?... Gwiżdże wiatr,
Świat w chmurze śnieżnej ginie.

## XXVII.

Ah! Gdybym teraz mógł pędzić, jak wicher,
Gdzieś w nieskończoność, nieskończoność, precz,
Roztrącać wszystko po drodze, jak piorun,
Rozcinać wszystko po drodze, jak miecz.

Czuję potrzebę lotu i niszczenia,
Ziemię i niebo rozbiłbym na druzg — —
Tchu mi brak w piersi, w oczach mam płomienie
I, zda się, głowę rozsadza mi mózg.

## XXXIII.

Młodości mojej wiosno! Na twym grobie,
Wykułem posąg z ciemnego kamienia:
Ręce ma na krzyż założone obie
I głowę na pierś posępnie schyloną
I ust bolesne, gryzące skrzywienia
I ciężkim żalem uciśnione łono.

I przed posągiem owym często stawam
Patrzę nań długo w smutku i zadumie,
I nieść się myślom w kraj umarły dawam,
A łzy mię palą i dławią mi gardło,
I tylko dumą żal mój wielki tłumię — —
Ah! Bo mi wiele i nędznie umarło.

## XXXIV.

W pożarze słońca, w róż oceanie,
W płomiennym zmysłów zachwycie,
Jak grom w dzień jasny, śmierć niespodzianie
Niech przyjdzie przeciąć me życie.
A nim twarz moja zblednie jak chusta,
Nim zimne wstrząsną mię dreszcze:
Słodka dziewczyno, daj mi twe usta,
Jeszcze raz, jeszcze, raz jeszcze.

## XXXV.

Mów do mnie jeszcze... Za taką rozmową
Tęskniłem lata... Każde twoje słowo
Słodkie w mem sercu wywołuje dreszcze — —
Mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze... Ludzie nas nie słyszą,
Słowa twe dziwnie poją i kołyszą,
Jak kwiatem, każdem słowem twem się pieszczę —
Mów do mnie jeszcze...

## XXXVI.

Widzę ją — — idzie z słoneczną pogodą
W anielskiej twarzy,
Idzie wieczorem gdzieś nad senną wodą
I cicho marzy...

Marzy, że swojem kochaniem ocali
Kogoś, co gnie się...
Ah! Coraz dalej idzie, coraz dalej,
Ginie w bezkresie...

## XXXVII.

Ze wzgardą patrzę na to nędzne życie,
Gdzie błoto bryzga aż na samą skroń,
Gdzie się oddycha gnijącem powietrzem
I musząc ująć, z wstrętem cofa dłoń.

Czyliżby cała ziemia była błotem,
Wszystkieżby rzeczy ziemskie kalał brud?
Czy jest świat inny, czystszy i piękniejszy,
A tylko mnie doń nie otwarto wrót?...

## XXXVIII.

Pierzchło marzenie — — przed memi oczyma
Znów staje prawda z obliczem zgorzkniałem,
Z tego, com marzył chwilę, nic już niema,
A wszystko to jest, o czem zapomniałem.

Pierzchło marzenie... Z pod jasnego nieba
Do pustych wiecznych pragnień wracam kaźni,
I nie wiem, czemu kląć mi więcej trzeba:
Czy życiu memu, czy mej wyobraźni?

## XXXIX.

Serce me, smutku owiane żałobą,
Słuchasz w noc cichą, czy kędy nie bije
We śnie o tobie marząc, serce czyje?
Czy cię nie woła? Nie tęskni za tobą?

Nie — nic nie słychać... Tylko smreki szumne
Szumią, za wichrem pochylając czoła...
Próżno wytężasz słuch, nikt cię nie woła — —
O serce! bądźże na skargę za dumne!

## XL.

Skonaj ty serce wprzód, nimby cię miano
Zdeptać szyderczo, lub karmić jałmużną;
Nie patrz już w przeszłość — umarli nie wstaną,
Ani patrz w przyszłość — pocóż czekać próżno?

W ciosaną z marzeń i tęsknoty trumnę
Włożone zaśnij i śpij nieprzespanie,
Na ból za martwe, na skargę za dumne — —
Śpij — — oto słońce zaszło i nie wstanie.

## SPIS RZECZY.